

p. 6517

DUPLET

द्वितीय  
प्रकरण

नं० १ ॥ १



# D Ź W I G A R Y

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWIE  
POLSKIEJ KULTURY PROLETARJACKIEJ

Numer pierwszy w Lublinie—Listopad 1934 roku

---

---

## T R E Ś Ć:

JAN SAMUEL MIKLASZEWSKI — Joanna d'Arc.

JERZY ZAGÓRSKI — Śmierć Parysa.

STANISŁAW PIĘTAK — Pola, Zdaleka księżyc.

JÓZEF CZECHOWICZ — Synteza.

CZESŁAW MIŁOSZ — Do księdza Ch., Dysk.

JÓZEF ŁOBODOWSKI — Rozmawiam z Rosją, Do M. Salu-  
tina wiersz czyły.

JERZY PUTRAMENT — Z poematu „Warszawa“.

MICHAŁ LERMONTOW — W zadumie, Ojczyzna.

ALEKSANDR BŁOK — Na Kulikowem polu, Słowo zaprzeczenia.

WŁADIMIR MAJAKOWSKIJ — O draniach, Rozkaz do artystów.

WIT CHOMICZ — Schadzka konspiratorów.

WŁADYSŁAW KOWALSKI — Bandosi.

JÓZEF ŁOBODOWSKI — Likwidatorzy Marksa.

IWAN KRAWCZENKO — W siedemnastym roku rewolucji.

STEFAN STRACHOCKI — Lekarze bezdomni.

WŁADIMIR MAJAKOWSKIJ — Niezrozumialstwo w poezji.

SZYMON MARIENHOLZ — Antynomje poezji współczesnej.

ALEKSANDER MAINSKIJ — Wśród zdobyczy i nieporozumień.

J. ŁOBODOWSKI i SZ. MARIENHOLZ — Na froncie poetyckim.

JÓZEF ŁOBODOWSKI — Nowe książki.

Polemiki i wypady — Noty i sprawozdania — Pro domo sua.

---

---

Wydaje i za redakcję odpowiada Kazimierz Wójeik.

Redakcja i administracja Lublin, ulica Narutowicza 37 m. 18.

Prenumerata kwartalna 4 zł. Półroczna 7.50 zł. Roczna 14 zł.

NUMER POJEDYŃCZY 1 ZŁOTY 50 GROSZY.

---

---

ZŁOŻONO I ODBITO W DRUKARNI „POPULARNEJ“ LUBLIN ŻMIGROD 1









JAN SAMUEL MIKLASZEWSKI — JOANNA D'ARC.

## ŚMIERĆ PARYSA

### I.

Jeżeli zapytają przez posłów złotych  
gdzie poeta odpływa jak anioł i ogień,  
powiedzcie, że wyrusza w niebliskie wyprawy  
przez aleje narówni bzem perskim i głógiem  
wyłożone po bokach.

W nich krzew słońca krwawy  
oblewa mu ramiona, kolce i ostrogi,  
które zdobył wśród wypraw — a teraz jak stery  
prowadzą przez żwir drobny, trawę i ajery.

Nie mówcie macierzankom ani klonów liściom,  
gdy pod nocą mileżącą tlen od węgla dzieła,  
komu moszczą woniami drogę, jakim przyjsiom,  
jakim bitwom obłoków, jakim zbawicielom,  
eo nad niemi kołować jak puszysty wyścig  
zaczna o dniu następnym.

Noc ogromną skrzela  
jest tylko i zawiązkiem. A skrzele odrzuca  
gdy już będzie im dane dech powierzyć płucom

Wtedy po śnie nastąpią pieśni i modlitwy.  
Czy widzisz: świt na wzgórzach chodniki wykuwa  
Po polach płynie żyto. Nad rzekę rybitwy  
unoszą się i kanie. Już las się rozpruwa.  
Przesieki w nim sinawe.

Tylko nie wiem, czy twych  
ramion teraz wystarczy gwiazdo, która czuwasz  
mówisz, że sny i pieśni jest to samo: leczą  
błogosławiąc armatom, akordom i mieczom.

Tego dnia niebo było jak paszczęka mąty:  
rzygała arkadami kłębów ciemnosina.  
Niebo burzą się myje.

Błogosławią klątwy.  
Czy wiesz, że każde drzewo to podwodna mina?  
Tak patrząc na kipiele żywiołów niemądrych,  
taką autor tych pieśni modlitwę rozpina  
na obłokach — mielonych krach płynących lądów  
sam do nich uczepiony ramionami prądów.



Jak zielona źrenica statku późną nocą  
płynącego przez bełkot czarnych fal jak widmo  
tak kolorem upiornym modlitwy łopocą  
a zarazem torują nadzieją bezwstydną  
drogę oczom lecącym ku wielkim karocom  
gwiazd, układów, galaktyk.

Takiej nocy wydumą  
piasku ławą na niebnej rzece jest chmur masyw,  
idący na te wegry, orjony i czasy.

Tam oczami uwięzgli, na poza-niebiosach  
odśpiewawszy najbardziej strzeliste tyrady,  
możemy jak wielbłądy o spłaszczonych nosach,  
zostawiając na piasku siniejące ślady,  
iść, gdzie w śpiewie kolorów i w cieni zakosach  
rysują się najstromejszych gór Upaniszady,  
a te góry i ślady, śniegiem i hyzopem  
narówni przyprószone, nazywamy tropem.

## II.

Gasną oblicza bogów,  
w powietrzu biegną fanfary,  
na brzegu rosnącej trwogi  
skarży się Parys.

Te brzoźki po tamtej stronie  
dziwne  
są niemal, jak w Helikonie,  
oliwne.

A granitowe kamienie  
na naszym zamarłym brzegu  
są jak stygnące wspomnienie  
smukłych norwegów.

Jezioro  
bażanty i plac  
i szalasy oparty o most  
i białe z marmurów popiersia.  
Z pokorą idziemy pierwsi  
swój barbarzyński wzrost  
położyć na miękiej trawie.

Jesteśmy skromni,  
prosimy żebyś rozpętał  
w nas dziwy,  
a wrogów — przyjaciół łapczywych  
zamieść w zwierzęta.

Tędy szły stopy proroków  
rycerz Tezeusz i Zorjan,  
Apollo ostatni smoku  
uśniesz.

Jest dąb. Jest dom — krematorjum  
a w domu tym mieszka kuśnierz.

Kuśnierz skórę wyprawiał i wyprawiał dziwy,  
niósł jak z kuźni przez okna platynowy ogień  
i nikt nie wiedział o tem, że w kuźni są dziwy  
i że kuśnierz, co bluźni, jest ojczymem trwogi.

A trwoga miała skrzydła jak tarcze olbrzymie  
i latała pod stropem w Hektora postaci  
i zanosła Parysa daleko od braci  
na góry, czy na brzegi wykąpane w dymie.

A trwoga miała skrzydła jak tarcze ruchome,  
a księżyc cichł nad borem i kołysał bór,  
a król przezczystych jezior miał dwanaście cór,  
ale stawy ich oczu były nieznajome.

Ten sam miesiąc cichnący ukołysał step  
i dalekie budowle murzyńskie na palach,  
kiedy w sercu swem ogień modlitwy zapalał  
Człowiek, prosząc o sławę, ojczyznę i chleb.

Na brzegu rosnącej trwogi  
groźnym przyływem  
proszę was, zmarłe bogi,  
o dzień prawdziwy.

Żeby muzyki szły,  
jak rozwinięte sztandary  
i żeby boginie trzy  
zeszły, skarżył się Parys.

Pod dębem, bukiem czy cisem  
dywany z trawiastych grzyw.  
W ogrodach rosną irysy,  
a w ludziach falują sny.



STANISŁAW PIĘTAK

## P O L A

Zuów czerwony widnokrąg  
odpływa wiatrakami w popielaty zmierzch  
od wschodu ciągnąc cień:

smutnego lasu czarną ciszę.

Za ciężko patrzeć w przestrzeń.

Wnet łowić na wodzie będzie oczy zabie wilgotnym księżycem  
wiatr cicho jak płacz zgubiony w rumianej wiklinie.

Nie ucieknie droga płowemi drzewami jak w śnie.

20 lat to samo. Pali się niebo.

Rzeka wciąż kryje sny obłoków na dnie.

O noce — godziny, minuty pieką jak rozżarzony pręt —  
dlaczego wracasz ciągle wśród smugi żalu i piekących mgieł?  
Z drzewami co wieczór wlokę się w jesiennie pole,  
by gorycz ust jak w chustę woni wtulić w zapomnianą ziemię.

To było rano.

Płakałaś i wiatr płakał nad niedolą krów.

Oczy ważniejsze niż świat. Wizjami gorzkiemi jak zmierzch  
wybuchał mój płonący mózg.

W podarty, mokry od słoty płaszcz tuliłem twoje  
drobne, zziębnięte ciało —

gałązkę trzęsących się na wietrze snów.

O jak ciężko spałaś potem wśród ogni tętniących ud!  
Od śliw nawracał czarny kot i długo patrzył w ciebie  
szorstkie łapy opierając o drżące jak koncha łono.

I cóż, że szukałaś mnie, że o pomoc wołałaś

do wysokich chmur —

krowy cicho płynęły, oczy miały przerośnięte gałęziami drzew.

Unosiła mnie za niemi wciąż żółta huczająca topiel.

A rano, gdy kot przemieniał się w mój kształt, jak smutno.

Za oknami siny szum,

białe rączęta z płaczem tuliły do ust falujące marzenie jak mgłę.

Mała, wśród żarów letnich z mąk naszych najwyższy  
wybuchł płomień.

Wracaliśmy.

Ty byłaś blada i w południe.

Krowy ryczały na deszcz.

Stało niebo nam naprzeciw. My dwoje samotni  
pod nagim niebem.

Przewinęła się iskra z szumem łun i znikła za dalekim lasem

Grzmot przybliżył mi o pukiel zapalonych włosów ciebie.

Płacząc rzuciłaś mi wtedy wyzwanie. Czyto śmierć —

głęboka jak zwątpienie była przepaść,

wargi palące jak piołun...

i nawet nie wiesz,

w wianku błyskawic unosiłem po polach twoją

rozświetloną skroń.

Przewija się wzdłuż włosów moich z chabrowego szumu

i strun pękniętych świat.

Dlaczego wracasz, bledziutka, w smudze żalu,

dlaczego potem godzinami zwisa nademną

czarny niepojęty kot?

Nie nuć ni w śnie, że mię kochasz, że palce twoje czeszą

moich ust deszczowy kwiat.

W gałęzie huczących topól wtulam opętana wspomnieniami  
naszej wsi i tobą twarz.

Tysiące dni, miliony. Życie niepojęte jak płat snu

odpływa, wraca, wśród mglistych moczarów trwa.

Bądź zdrowa. W dalekiej polnej wsi mnie nie żałuj.

Co noc z drzewami błąkam się bezbronny

jak jesienny łąn,

w ustach dym z chałup.

## ZDALEKA KSIEŻYC

Dłonie nucą, chcą być szumem —

cienie czeszą uspioną wodę, tam wiatr

obłoki kobiet wnosi w błękitną lunę.

Jestem roślinnych ust najcichszy kwiat,

włosom do pocałunku podaję gwiazd strumień.

Łąka paruje wonią w oddech rosy,

zawiewa welonami seledynu i białych brzoź.

Nie odchyłę dalej w topiel zieleni nóg bosych.

W siwym zawoju dymu mózg i oczy,

że z zachwytu w ramionach żal —

różę słów chyba w zaświat noc potoczy.



Kogo czekać — i poco? — białych panien i ryb  
jest pełna dal.

Tak dawno urzekł mnie zmierzch  
nucący za wsią w cicho usypiającym stawie.  
W miękkim zwierciadle odtąd rosnę jak dzwon fal.  
Mknęły chmury poprute cieniem, obłoki wierzb  
i srebrne oczy żabie.

Takie lekkie jest wszystko.

Gdzie drzewa, cienie drzew na wodzie. Dymi z nich  
mleko i fiołków śpiewający sen.  
Nie wycieram oczu, choć gubią się jak samotny śpiew.  
Jest mi tak, jakbym opierał usta o najcichszą mgłę —  
zatonąć na wieki w wieczornem błękitnem słowie.

To ja, znów ośmioletni chłopczyk,  
pod płótem czekam cudu.

Wejść kocham, jak dawniej, uwitą ze srebrnych smyczków ciszę  
Idziesz już, matko, ku mnie  
otulić mi dłońmi oczy, co noc wyglądanym puchem.  
Śpiewu kwiatów nie słyszę,  
w warkoczach zaśniętych drzew muzyka skrzydeł  
w zaświatowej, modrej łunie.

Chcę się unieść ku tobie, tęsknoto moich lat.

Mamo, tu jestem, nucę —  
obłoki mnie niosą białe i wiatr,  
dłonie są szumem.  
Na włosy twoje ich nie rzucę —

szklanego snu, kwiatów i panien sad.

JÓZEF CZECHOWICZ

## SYNTEZA

Złota kobieta stoi w jeziorze po pas.  
Jest bardzo wielka — mało — i niewysłowiona —  
Mówi:

„rzeczy są obce, powiędły dźwięki nazw,  
a wy nie chcecie wiedzieć.

Dlaczego?

Więc obce są ramiona  
jedyne.

I niema was“.

Ejże?

W zgiełku, jak codzien, fruwały pawiki,  
grały szyby w inspektach, brama, gołębniki,  
grzmot majowy grzywami ognistemi trząsał.

Pod bory, chmurne dziwy lał się jeziora bronz —  
bronz, bo to zachód, zachód wiosenny,  
wiosenny u wiosel, u wiosel senny.  
Fal przyływ łuskę sieje na piach...  
Rybitwa obłok lotem pieści.

To dobry znak!!

Znak pieśni...

Złota kobieta mówi, chwytając ptaka w garść:

„powstanie płomień ścianą, a kiedy będzie marł  
złączy się to, co miałkie, złączy się to, co duże  
ja sama wihrem uderzę w gasnący ziemi żużel —  
poznajcie wreszcie, mali, w raketach wonnych światel —  
prawdziwe jest,  
co głoszę od trzystu tysięcy lat —  
między niebem a ziemią jedno jest tylko: głowa,  
człowieczy kwiat...“

## DO KSIĘDZA CH.

Do ciebie, słyszającego głosy niemych chórów  
zgiętego nad smutnymi ołtarzami Pana  
w wiejskim dusznym kościele, do ciebie, o mściwy,  
piszę ten list, prefekcie, burzo zapomniana.

Już włos gładko szesany splywa siwym strąkiem  
na kark przecięty blizną po cielesnych mieczach,  
już wzrok twój fanatyczny jest martwym skowronkiem  
zabitym w ogniu świata, któremu zaprzeczał.  
Twoje usta śnię często. Ich grymas niesławny  
długo uczył pogardy wszystkiego prócz zgonu.  
Dziś ja, uczeń, poznałem nicość form powabnych  
i otośmy już prawie z jednego zakonu.

Góry sine jak irys w trawie mokrych sadów,  
oczy kobiet, ich uścisk w mgle zbielałej nocy  
na popiół, na płyn cierpki pełen skrytych jądów  
zamieniałeś, tnąc słowem z dawidowej procy.  
Wesele ciał złączonych z wodami i ogniem  
górami lecących ptakiem, rybą mknących dołem  
nienawiścią paliłeś, aż szerniały główne  
spadły w noc, a noc była dla ciebie kościołem.

Ziemia drży, drzewo milknie kiedy stąpa prawy,  
ale wiek nazbyt grzeszny świętego nie zrodzi —  
tak mówiłeś a miasta strumień wrzącej lawy  
zgasi i żaden Noe nie ujdzie na łodzi.

O światło potępienia, o wieczną zatrąbę  
modliłem się wtedy, a ręce skrzydlate  
czułem w każdym powiewie muskającym twarz.  
Ty dzieła swoich nauk zawsze nieświadomy  
w starej sutannie lecąc nad ziemi ogromy  
na ludzkie czyny ciemny upuszczając płaszc.

Dojrzałem, moje ciało jest czułą kołyską  
dla mocy, w których płaczu zawiera się wszystko,  
leżą w pięknym posłaniu i miłość i głód.  
Wiatr swobodnych poranków we włosach powiewa  
i jabłko, ciężkie jabłko, sen rajskiego drzewa  
toczy się potrącane końcem lekkich stóp.



I jest szum, przypływ morza dotychczas nieznanego,  
morza nicości. Pod białą pianą jego  
utonąły zwierzęta i lądy.  
Ciesz się triumfatorze! Obu przyjęło morze,  
w jego głosie zagłady grzmiały trąby.

Pogodzeni jesteście po długim skłóceniu  
wiedząc że z szczęścia ludzi kamień na kamieniu  
nie zostanie,  
ziemia usta rozewrze, w jej dudniącej katedrze  
chrzest odbiorą ostatni poganie.

## D Y S K

Nad rzeką o żółtej wodzie leży miasto,  
którego oddech głęboki  
pompują fabryki codzien w mosiężne, zastygłe obłoki.

Krzyk ludzi, szum transparentów, syczenie prażonych metali  
bezustanku idzie szeroko w drganiach powietrznej fali.  
Kompanje policji przechodzą. Lufy o hełmy łomocą.  
Rewolucyjne wezwania  
ktoś na murach wypisuje nocą.

Nauczyciele co rano mówią o czci dla ojczyzny —  
o chwale niepodległości,  
wieczorem jęczą w barach,  
rozważając gorycz swej małości.  
Lotnik symbol niesłychany,  
leci pod kątem 45° do poziomu miasta pochylony,  
cieszy go szum aeroplanu,  
ale on też nie jest wyzwolony.

Patrzę, słucham, przechodzę ulicami,  
patrzę, słucham,  
ulicami toczą się ubrane w narodowe barwy czołgi,  
może za kilka lat gaz zielone pola popłami,  
może za kilka lat spłoną miasta od Renu do Wołgi.

Patrzę, słucham,  
aby wynaleźć formy, godne czasu moich synów,  
aby w dłoni odważać  
lśniący dysk najpiękniejszych hymnów  
i rzucić...  
w pola mgły, w huk wodospadów przyszłości.

JÓZEF ŁOBODOWSKI

## ROZMAWIAM Z ROSJĄ

*Józefowi Czechowiczowi.*

### 1. GENERAL KORNIŁOW

Tobie śpiewam, białogwardyjska Anabazis,  
nad brzegiem rzeki w ciemność wpatrzony Xenofont —  
szum dalekiego świata słuch mój poraził  
i echo klęski podaje zdławionym strofom.

Słowa, kipiące w sercu gniewu i zemsty furją,  
idące zwolna w żałobie noga za nogą  
niech nienawiścią nie krzyczą poległym dawno centurjom,  
niech wieńcem kwiatów upadną na trumnę wroga.

Chyba już bujną trawą ten szlak stepowy zarósł,  
którym ku śmierci ciągnął tragiczny Kornilow —  
znowu źrenice mi pali płomień pożaru  
i lat następnych nie pomnę,  
jakby ich nigdy nie było.

Kurzawą rosły grzywy końskich karków.  
Gasnącemu słońcu na morzu  
świeciła luna nad stepem.  
I znowu czkawką salw stękały chałupy ślepe,  
na odsiecz twoim pułkom nadchodził generał Markow.

O czem milczący twój cień w tą noc się rozkrzyczał,  
gdys bataljony powierzał przewozu czółnom  
i nad szeroko rozlanym w mroku Manyczem  
z garbonosego dońca oczy zwracałeś na północ?

Generale, generale bez skazy,  
cesarz już umarł —  
idącej gromadzie lat nic się nie oprze.  
Daremnie twoja odwaga i oficerska duma  
na progu płonącej twierdzy sztandarem zatkniętym wpoprzek.

Gdys salutował wzniesione w górę papachy  
i wodza witała okrzykiem drużyna wierna,  
miałeś w źrenicach zmrużonych bez strachu  
bliskie mogiły Wrangla, Kołczaka, Ungerna.



Z ręką na kolbie, czujnie podany w siodle,  
z błękitną wstęgą Kubani na piersi męskiej,  
ponad zwłokami ojczyzny drżącemi-ś usta się modlił,  
ostatni Rosji Bayardzie,  
niezlomny rycerzu kłęski.

Tak właśnie było potrzeba:  
krwawy na wargach uśmiech,  
ordery gwiazd spadające na oczy zagasłe — —  
pod czarną ziemią kozacką spokojnie usnij:  
już nikt nie pamięta odzewu,  
nikt nie odpowie na hasło.

I nie zakłóci twego na stepach spoczynku,  
ani poruszy brwi ściągniętej gniewem srogim  
pieśń oficerska w dalekim lubelskim szynku,  
niby na tłumie pijaną uciechę dzwoniące ostrogi.

Patrzac na dłonie bijące w struny gitary,  
generale o tobie myślę,  
ciebie wspominam —  
i zduszonemu bólem, spitemu gorzkim płynem  
twój proch na oczy zlatuje popiołem szarym.

Więc, gdy oplączę skroń skrzypiec srebrzysta kaskada  
przedzą jedwabną, niesioną na skrzydłach wiatru,  
żałosną głową na stół splamiony opadam  
i dławie w sercu tą pieśń,  
która-m się upił i zatrul.

## 2. POETOM NA EMIGRACJI

Przez wsie zaniesione śniegiem w kostromskich i twerskich lasach  
chodził w dzwoniących wierigach wasz bizantyjski Chrystus,  
na stepach rżące rysaki pan hrabia Orłow wypasał,  
by potem trojki się nosły wśród dzikich pieśni i świstu.

Kulił się z zimna kamienny Aleksandr Siergiejewicz Puszkina:  
cień Miedzianego Jeźdźca skronie mu przykrył i zgniółł;  
w oknach piwnicznych migaly nożyszcza, nogi i nóżki,  
kupcom po wąsach spływało mleko i miód.

Aż kiedyś spłynęło z wąsów i w czarne sopele zakrzepło,  
taksamo, jak rude plamy na zawszawionych szynelach — —  
tłum się rozepchnął łokciami: rojny, huczący i ciepły  
wymierzył błyszczące lufy w zastygłą twarz Zbawiciela.

Zabrakło nagle odwagi skrwawionym i siwym czołom,  
trąba powietrzna historii oto im wyszła naprzeciw —



i kamerjunkrom na zmianę w alejach Carskiego Siola  
toczy się śmiechem radosnym gromada krzyczących dzieci.

A przecież tamten poeta, co klękał w ciężkim poklonie  
i duszę chorą powierzał jerozolimskim palmom,  
taksamo tęsknił i wierzył,

taksamo wyciągał dłonie,  
jak zabłąkani wędrowcy: Błok, Majakowski i Balmont.

I dróżnik. co wyjdzie z chaty  
gdzieś pod daleką Żmerynką,  
ma oczy szare i mgliste, jak szofer w obcym Paryżu,  
i jednakowo żarliwie dorastającym dziewczynkom  
układa ręce modlitwy człowiek, rozpięty na krzyżu.

I taż kwitnąca czeremcha od Astrachani do Mińska,  
gdy ucisk w piersi się zwiększy  
i łyzy nakipiałe bryzną —  
i taż zajarzy wam w oczach gwiazdzista noc ukraińska,  
płynąca wolnym strumieniem  
nad waszą srogą ojczyzną.

### 3. DO BOLSZEVIKÓW

Z wzniesionych do góry rąk groźnym oddano was klątwom  
i grożą te słowa, ciężkie jak pęki liktorskich różg,  
z nad horyzontu zmierzch napływa brunatną mątwą  
i świeci próchnem gwiazd czyjś rozprysnięty mózg.

Na niewybuchłe prochownie dymiących w dolinie chałup  
żagwią nocnego pożaru księżyc się stoczył z urwisk,  
pod nocą trzęsącą z kiecek deszcz węglowego mialu  
na rogach tępo zacichłych stołeczne miasto się kurwi.

Jakże ponad tą nocą luną czerwoną wyrosnąć  
i wzbić się nad głosów gwar o wielkość człowieka?  
Gorzkich wieczorów swąd przeciw zatrutym wiosnom,  
dłoń na ściśniętych powiekach.

Drzewa się trzęsą jak pięści — nad ziemią sztorm,  
niełatwo Stellę Maris wzrok wyteżony odróżni, —  
walczącym, upadającym w ogniu tworzących się form,  
sygnały szlemy z okrętów — dalekich portów podróżni.

To dla nas topi się ruda w uralskich piecach,  
a przęzło każdego mostu  
podwaja krok naszym dniom, —  
i zorza nad Dnieprogestem nam także w mroku przyświeca  
i teźnie ozonem życia jej elektryczny grom.

Nie zwiedzie już żaden podstęp, żaden nie uda się atak, --  
Londyn, czy Paryż, czy Rzym — nikt nie potrafi zmóc jej —  
w gigantomachji ostatniej na gardle starego świata  
zwarła się mocną obręczą straszliwa dłoń rewolucji.

Rozsiani po morzach i lądach, wśród miast, kopalni i szczytów,  
wierzymy, o, bracia,  
z dniem każdym mocniej, goręcej i wierniej:  
słonecznym cieniem na skronie położy się Smolny Instytut  
i z kopyt płomiennych tętentem przeleci spieniony październik.

Czarne rumaki epickie wciągają w nozdrza chłód,  
daleka jeszcze droga zbłąkanym na morzu kutrom,  
słyszycie:

głuchy werbel lecących na trumny grud  
żałobnem wczoraj i dzisiaj  
zwiastuje pośmiertne jutro.

Noc się wydłuża i rośnie za naszym cieniem,  
są jeszcze niewiast ramiona i półmrok kwitnących grusz, —  
przeto na drogach dudnią miedzią okute golenie  
i wstaje chmurą brunatną blach druzgotanych kurz.

To on, nadchodzący dzień, wznosił was oddechem swoim,  
martwych oddając płomieniom, żywych prowadził ich śladem,  
patrzy i na nas teraz, — ręce zaplótłszy na zbroi,  
do murów płonących miast nową przyzywa Iliadę.

Tego dnia wyglądając z masztów,  
drżące dłonie na sercu kładąc,  
oddajemy pokłon braterski waszych trudów cierniowym gloriom,  
argonauci nowi,  
płyniemy wciąż wzrastającą gromadą —  
i nad nami, nad głów naszych żniwem  
błękitny zapala się Orjon.

## DO M. SALUTINA WIERSZ CZUŁY

Kiedy wiatr czarnomorski powiał od sinej Tamani,  
tężał nieboskłon nad Europą i Azją,  
zataczały się świeczniki akacyj,  
a na nich  
dymem dzieciństwa chwiała się nasze gimnazjum.

Czarna kozacka ziemia, miodem płynąca Kubań,  
w twoich ramionach mocnych radosne lat dziesięć, —



rzędem guzików złotych błyszcząca duma i chluba,  
kiedy na kartkach książek pierwsza otwarła się jesień.

Wtedy błękitne oczy i ręce bardzo młode,  
ściśnięte w jeden węzeł, któremu imię — towarzysz.  
Szepały to słowo usta spalone najpierwszym głodem,  
mówiły lata kalekie  
bez nóg i bez twarzy.

Dzisiaj nademną znów wiatr zaplątany we włosach,  
ten sam wiatr,  
który w porcie podwiewał płótna banderom, —  
smaga ramiona, przemawia znajomym głosem —  
i słyszę głośne podszepty  
i okno ku tobie otwieram.

Gdzie jesteś, przyjacielu?  
w znojných winnicach Majkopu,  
czy w zauralskich hutach,  
czy przyjął cię czarny Donbass!  
Bardziej niż wówczas potrzebny mi jesteś  
pod nieba kamiennym stropem,  
na ziemi, którą stratował straszliwy czas.

Naucz-że mnie, jak stać się ojczystych pieców palaczem,  
jak mam budować  
szeregi roboczych brygad, —  
zawiły gwiazd rachunek co noc mi klęskę tłumaczy  
i czarne widmo na widnokregu się dźwiga.

Za ślepa okienną błoną  
dudnią tysiące nóg,  
pod ciężarem przechodzących armij wzbiera powodzią czerwoną  
huczące stulecie, —  
wpatrzony w alfabet gwiazd,  
jak żuk  
bezsilnie leżę na grzbiecie.

I myślę o dniu, w którym nad rzeką graniczną  
twojej Republiki i mojej Rzeczypospolitej —  
jednego mostu budowniczo wie —  
spotkamy się, być może, na przęsłach śliskich  
i, wbijając młotami ostatnie nitki,  
złączymy dłonie uściskiem.



## Z POEMATU „WARSZAWA“

Przeciągają ponad nami w mrokach,  
wokół twarzy niespokojnie krążą,  
rój obrazów sypią — oczom pokarm;  
ze snów się wyrwać nie można.

Plac po dachy ciemnością się zatchnął,  
opadł nisko nieba zmięty kwadrat,  
wśród kominów czworokątną płachtą  
miełe chmury poszarpane wiatrem.

U wylotu zagrał chryply falset,  
przebiegł wzdłuż aleję, w ścianach stanął —  
szybkie auto — dwa ogniste palce  
wbija w oczy drzewom weteranom.

W mroku iść wśród śmierci nagłych błysków,  
młode lata codzien w boju grzebać  
i zwyciężyć, by ujrzeć, że wszystko  
jest jak dawniej, tylko niema ciebie.

Czas zwycięstwa jest najbardziej gorzki,  
nie ma łez i słów litości nie ma,  
dni śpieszących triumfalny okrzyk  
ślawi życia moc i twoją niemoc.

Noc w zaułku legła czarnem ciałem  
między wąskie domy wprost ulicy,  
dyszy ciężko, pełźnie ociążała,  
jak ogromna, śliska gąsienica.

Zbudź się, przełam snów rytmiczny chybot,  
pajęczynę z oczu dłonią utrać,  
czoło tulę o spotniałe szyby,  
szukam jutra.

Za szybami kościół — ostry kamień  
łamię napół nurt ulicy bystrej,  
ruda luna nisko za domami  
i w ciemność nad tramwajami  
pryskają zielone iskry.

## W ZADUMIE

Ze smutkiem na współczesne patrzę pokolenie!  
Pustka i mrok w przyszłości czeka wszystkich nas;  
owładnie naszym mózgiem starość i zwątpienie  
zanim nadejdzie wielkich czynów czas.

Tradycja ojców nam ramiona pęta,  
zuamy ich wszystkie błędy i przeszłości żal —  
i życie jest jak uczta w dniu cudzego święta,  
jak droga co bez celu wiedzie w dal.

Dłonie bezczynne dawno już zamarły,  
nie wzrusza serca dobro, zło nie pali warg,  
w lęku przed ciężką walką — pohańbione karły —  
chylił pod jarzmo niewolniczy kark.

Tak owoc, który niewiadomo poco  
przedwcześnie zdążył dojrzeć na gałęziach drzew,  
wśród barwnych pęków wisi smutno i sieroco —  
gdy kwitną, jego na dół strąca wiatru wiew.

Napróżno każdy z nas nauką umysł trudził;  
z wszystkich porywów serca śmiejąc się i drwiąc,  
zazdrośnie ukrywamy przed spojrzeniem ludzi  
szlachetne głosy przytłumionych żądz.

Tak krótko trwały młode dni rozkwitu,  
nikt ich beztrosko nie potrafił nieść;  
z każdej radości, bojąc się przesytu,  
myśmy wyssali jej najśłodszą treść.

Obok poezji, sztuki trwamy obojętnie,  
marzenia niepotrzebne ciążą nam, jak garb;  
resztę uczucia w piersi swej chowamy skrzętnie —  
rękami skąpca zakopany skarb.

Nienawidzimy i kochamy przypadkowo,  
łatwa jest nasza miłość, łatwy jest nasz gniew;  
i w duszy mroczny chłód rozściela się grobowo,  
kiedy płomieniem kipi krew.



Nudzą nas naszych przodków radość i zabawy,  
utracjuszostwo ich wezbranych sił,—  
idziemy w śmierci cień bez szczęścia i bez sławy,  
z drwinami spoglądając w tył.

Gromadą zapomnianą wkrótce i ponurą  
bez śladu i hałasu opuścimy świat,  
przyszłości myśli płodnych nie przekaże pióro,  
nie zostawimy zysków, ani strat.

Potomstwo nasze prochy śmiechem swym znieważy  
i nie oszczędzi wzdargy, ani gorzkich drwin —  
tak kpi z bankruta-ojca z zachmurzoną twarzą  
rozczarowany spadkiem syn.

## OJCZYZNA

Miłością bardzo dziwną kocham kraj ojczysty;  
próżno ją pragną zmienić wyuczone usta!  
Ani tajniki podań mglistych,  
ani bezpieczny pokój w cieniu groźnych ustaw,  
ani wojenna sława, ani dym ołtarza  
młodzieńczej myśli mej radością nie rozmarza.

A jednak kocham — za co, nie wiem sam —  
przestrzenie stepów nieobjęte okiem,  
jej ciche rzeki, mgliste i szerokie,  
kołysy drzew rozsianych tu i tam;  
przydrożne głązy lubię mijać w szybkim biegu  
i patrząc, jak się kładzie nocny cień na świat,  
spotykać bezpowrotnie z myślą o noclegu  
drżące światełka smutnych, wiejskich chat.  
Kocham ogniska dymek siny,  
w stepie skrzypiący obok wozu wóz  
i na pagórku wśród równiny  
samotną parę białych brzoź.  
Z radością, dla was nierozumną,  
idę pomiędzy wiejski lud,  
lubię oglądać pełne gumno,  
rzeźby na deskach prostych wrót;  
i gotów jestem aż do świtu  
w cieniu pochyłych, białych ścian  
na parobczaków patrzeć spitych,  
jak idą z gwizdem w huczny tan.

*Przetłóżył z rosyjskiego*  
JÓZEF ŁOBODOWSKI



ALEKSANDR BŁOK

## NA POLU KULIKOWEM

1.

Szeroko rzeczny nurt. Leniwe fale płyną  
wzgórzom u żółtych nóg.  
Ponad urwiska obsypaną gliną  
przy stogu smutny stóg.

O, Rosjole! Żono moja! Jakże boli  
ten szlak w całunie mgieł!  
W piersi — jak grot tatarskiej, złej swawoli  
wbił się po belt.

Twój żal nad stepem skrzydła swe rozłożył,  
zapłakał tęskny ból!  
Lecz nawet nocna groźba nas nie trwoży  
wśród twoich pól.

Cóż noc! Pomkniemy. Blask ogniska ciśniem  
w stepową dal.  
W stepowym dymie święty sztandar błysnie  
i chańskiej szabli stal.

I wieczna walka! Sny nam spokój wróżą  
przez jęk i płacz...  
Rozgłośnie tętni mnąc skrawiony burzan  
stepowa klacz...

I niema kresu! Mroczna noc zapada...  
Wstrzymaj swój bieg!  
Pełzną po niebie chmur spłoszone stada,  
krwią zachód ściekł.

Zachód we krwi! I krew strumieniem z boku!  
Płacz serce płacz...  
Spokoju niema! Tętni polem w zmroku  
stepowa klacz.

2.

Zatrzymała północ nas w tym pędzie:  
ani wrócić, ani spojrzeć w tył.  
Za Niepriadwą niosły się łabędzie,  
lamentując w górze z całych sił...

Tam na drodze — czarodziejski kamień.  
A za rzeką — czerń pogańskich hord.  
Nie zaszumi sztandar ponad nami,  
nigdy w dłoni nie zaświeci kord.

I wbijając w ziemię oczy sine,  
mówi do mnie druh mój: — wyostrz miecz,  
— by nie darmo bić się z tatarzynem,  
— i za świętą sprawę martwym lec!

Ze mnie rycerz nie ostatni w bitwie,  
zamrze kraj w ponurym, długim śnie.  
A ty, żono miła przy modlitwie  
choć na chwilę wspomnij też i mnie!

3.

Chmurną nocą, gdy tatarzyn dobiegł  
sinej, rzecznej mgły.  
W ciemnym polu byliśmy przy Tobie. —  
Czyś wiedziała Ty?

Oczekując rozszalałej burzy,  
Don w tumanach znikł,  
głos Twój święty w sercu mi wywróżył  
dziki ptactwa krzyk.

A z północy szła książęca siła,  
lśniło srebro ros.  
Stara matka głośno zawodziła,  
rwała siwy włos.

Krażył ptactwa orszak pogrzebowy,  
przelatując wzdłuż.  
I nad Rosją strzegły księcia głowy  
sine błyski zórz.

Orli klankor, głośno się weseląc,  
wróżył stosy ciał,  
nad Niepriadwą mgieł wilgotnych welon,  
wznosił się i chwiał.

I w tych chmurach nad Niepriadwą śpiącą  
szłaś przez nocny mrok  
poraziłaś twarzą gorejącą  
mój oślepy wzrok.

Rozżarzyłaś miecz płomienną strugą,  
że jak djament lśnił.  
Jasną dłoń uniosłaś nad kolczugą,  
zmyłaś brud i pył.



A gdy rankiem pchnął do boju tatar  
przednią wojska straż,  
na mej tarczy lśniła, jak poświata,  
Twoja święta twarz.

4.

Znów step opylony utonął  
w tęsknocie i męce stuleci.  
Za rzeką wieczorną, zamgloną  
wychodzisz. samotna, naprzeciw.

Stepowe tabuny rumaków  
zginęły, przepadły bez wieści  
i wicher szumiący na szlaku  
o innych zwyczajach szeleści.

I sam ja z odwieczną żalobą,  
pod krwawym księżycem na niebie,  
nie zgadnę, co czynić ze sobą,  
gdzie iść i jak dążyć do ciebie.

Ujrzało tatarów me oko,  
zagłuszyć ich krzyków nie mogę,  
i widzę nad Rosją szeroką  
ogromną i cichą pożogę.

Objęty potężną tęsknotą,  
na koniu wędruję i błądzę...  
I lśnienia błyskawic się plotą  
jak złote, niebieskie wrzeczadze.

Podnoszą się myśli, jak cienie,  
w mem sercu znużonem i krwawem,  
i, jasnym objęte płomieniem,  
spadają popiołem na trawę...

O, przybądź potęgo straszliwa!  
Rozjaśnij me serce człowiecze!  
Nad wichrem unosi się grzywa,  
za wichrem szczękają złe miecze...

5.

Znów mgła na ziemi i na niebie,  
jak gromnie dym u zimnych zwłok,  
i puste pole walki grzebie  
idących dni surowy mrok.

A za chmurami, w mgieł tych środkiem  
nie huczy bitwy groźny grom —

i głośny tętent końskich podków  
nie zawtóruje moim snom.

Lecz cię poznaję, pierwsza chwilo  
ogromnych buntowniczych lat!  
Nad wrażem wojskiem głośno kwilą  
schryple klangory orlich stad.

Nie umie serce żyć spokojem,  
nadleciał wichur — zwiastun burz.  
Cięży ci zbroja, jak przed bojem.  
Już dzień. W modlitwie ręce złoż.

## SŁOWO ZAPRZECZENIA

Tak. To natchnienia mego wina,  
że myśl marzenia swe wypędza  
tam, gdzie w zatęchłych suterynach  
cuchnące błoto, mrok i nędza.

Tam, tam, pokorniej iść i niżej, —  
stamtąd o wizję świata proście...  
Widziałeś dzieci tłum w Paryżu,  
żebraka w mroźną noc na moście?

Niechże więc wstanie prawda naga  
i grozę życia rzuci w oczy,  
zanim straszliwych sił huragan  
ojczyzny twojej nie zamroczył, —  
niech gniew napelni męskie łono,  
do pracy szykuj obie ręce...  
Albo przynajmniej w cichej męce  
pozwól tęsknocie swojej płonąć...

Ale z pobladłej twarzy zetrzyj  
kłamnego życia blansz i puder,  
jak kret, uciekaj przed powietrzem,  
skryj się do ziemi, w czarną grudę,  
i nienawiścią swą skrzydlaty,  
pogardę kryjąc w serca drzeniach,  
bij w terażniejszość tego świata  
płomiennem słowem zaprzeczenia!

*Przełożył z rosyjskiego*

**JÓZEF ŁOBODOWSKI**



## O DRANIACH

Sława, sława, sława bohaterom!!!

A zresztą  
dosyć już  
hołdów złożono im w dani.  
Teraz  
czas byłby  
zabrać się do drani.

Przygasa z wolna czerwień rewolucyjnych skier.  
Muł i zielsko zarastać Sowiety zaczyna.  
I wnet  
zza pleców R. S. F. S. R.  
ukazał się  
pysk mieszczanina.

— (mnie za zbędne słówko nie złapiecie,  
mieszkańcom miast ubliżać nie chcę za nic.  
Wszystkim mieszczanom, ilu ich jest na świecie,  
moje najwyższe uznanie).

Ledwie dzień pierwszy rewolucji przycichł,  
spłynęli zewsząd, zamieniwszy piórka,  
i przywalili  
swym ciężarem powstające życie  
przy urzędniczych stołach i biurkach.

Wysiadują krzeselka od pięciu lat, —  
na szerokich zadach odciski —  
— żyją idealnie —  
spoglądając na świat  
z zacisznych gabinetów i sypialni.

A wieczorem  
ten czy inny zuch,  
patrzac,  
jak żona przy fortepianie zadręcza klawisze,  
powiada,  
gładząc napęczniały brzuch:  
— To-wa-rzy-szu!

Dodatek z powodu święta, —  
24 tysiączki.

He!

Ot, i sprawię-ż ja sobie  
wspaniałe porcięta,  
żeby miały  
szerokie,  
jak ocean galifè.

A żona:

„dla mnie suknia, emblematy i tak dalej.  
Bez młota i sierpa nie pokażę się w świecie.  
Czemże dziś  
wieczorem  
się pochwalę  
na zabawie w Rewwojensowieciel?“

Na ścianie Marx  
ubrany w czerwień.

Na „Izwiest'jach“ kociak grzeje się szary.  
A z pod sufitu  
darł się bez przerwy  
ogłupiały do szczętu kanarek.

Marx ze ściany przyglądał się długo.

I wtem

otworzył usta,

zaryczał na całego:

— „Spętała rewolucję ta mieszczańska przędza.  
Wróg groźniejszy od Wrangla w nasze domy wszedł.  
Wszystkim kanarkom  
łby ukręćcie czempredzej,  
jeśli nie chcecie,  
by komunizm wziął w łeb!“

## ROZKAZ DO ARTYSTÓW

Bałaganią starców brygady

wciąż to samo i ani rusz.

Towarzysze,

na barykady,

barykady naszych serc i dusz!

Jeśli-ś jest komunistą istnym,

wszystkie mosty za sobą zniszcz.

Zamały krok futurystom

ku przyszłości wstającej ze zgliszcz.

Lokomotyw sto uruchomić



i dać dęba — cóż przyjdzie stąd!  
Jeśli pieśń na dworcu nie gromi,  
na co zmienny przyda się prąd.  
Dobieracie zgłosek secinę  
i z tą pieśnią dalej na żer —  
są tu jeszcze litery inne  
sza  
szcza  
er!

To za mało stawać dwurzędem,  
odprasować na spodniach kancik, —  
z tych wysiłków armij nie będzie,  
gdy nie zagrzmia w marsz muzykanci.  
Na ulicę fortepian ciągnij,  
bęben z okna prosto na bruk —  
wał w fortepian, w bęben  
choć drągiem,  
żeby hałas był,  
żeby huk!

A tak cóż! — w fabrycznych budynkach  
w czarnym kopciu gęba i głowa —  
i na słodycz cudzego spoczynku  
osowiałem oczkiem zezować!  
Prawd groszowych zdarły się frędzle,  
odrzuć precz starzyzny odrzynki —  
ulice — to nasze pędzle,  
palety — place i rynki!  
O dniach rewolucji dotąd  
pieśń się nie zrywa, nie leci...  
wyjdźcie na ulic błoto,  
futoryści, dobosze, poeci!

*Przetłóżył z rosyjskiego*

**JÓZEF ŁOBODOWSKI**



THE UNIVERSITY OF CHICAGO PRESS



WIT CHOMICZ — SCHADZKA KONSPIRATORÓW

## B A N D O S I

Czterdzieciątą gromadą ruszyli w drogę.

Dodnia wyszli, że ledwie maleńkim skrawkiem zmieniło się niebo na wschodzie tak, jakby odrobinę mlekiem polał. Drewnianymi chodnikami bez rytmu kołatali o ziemię zmarzniętą. Już było dobrze i raptem z wieczora chwycił ten mrozek. Skuło z powrotem lotny opoczyński piach w twardą bryłę, a po sapowatych dolinach rdzawą wodę w lodową płytę... Ale—powiadają: na ciepłych urodzajnych gruntach robota zacznie się wnet. Bociany już leciały. Portal był w Nowem Mieście i potwierdza, że: „tamej zimy zmiotło“. I gromada ludu szła prosto na Mogielnice.

Nie tylko te radomskie, z pod Krwowa. Chytry złokrew naród tam, że jej... Ale czego się tam dziwować. Chytry bo chytry... Bo mu mus takim być. Tej świętej ziemi kawałka poniektóry nie ma, zaś który i ma zusek, ale taki tam grunt. — Piach i zimnica. Kartofel ledwie łądyżki z ziemi wyściubi, a już się na listkach pojawiają czarne plamki niczem te rany na suchotniczych płucach. Żyto rodzi brata za brata. A naród plenny. Przez zimę furt po wsi baby napęczniały i na wiosnę wyrzucają nowe gęby do jada.

Przechytrzonyś, chytry człowieku.

Tupali coraz głośniejszymi chodakami. Omdlewające nogi plączą się, zawadzają o ry pociny, stara Pawlusiowa po raz trzeci wali się na ziemię. I sama się podniosła. Nikomu nie spieszo jej dopomóc. Bo, niby, niech się sam każdy pilnuje. Niby kłopotów nie ma każdy swoich dość?

Po prośbie by już jej, a nie na bandoskę—warknął Tomek Kubała.

I więcej nikt ani mruknął. Szli w milczeniu dalej. Kto sapał ciężko ze zmęczenia, kto wzdychał głęboko, lub ziewał głośno. Dopiero gdy słońce nikłymi promieniami jakby przymrużonem okiem zerknęło z za kopuły ziemskiej, Jan Kubała rozprostował ręce, ziewnął przeciągle i rzucił raptem pytanie.

Pyrtała! A jak tyła nie zakontraktują w Lipnicy?

Dech zaparło wszystkim w piersiach, w plecy Pyrtały, który nawet się nie odwrócił, idąc w przodzie, wświdrowało się trzydzieści dziewięć par oczu ciekawych, zakłopotanych, dzikich i gwałtownych.

Co roku tyła przyjmo, — uspokoił Pyrtała i szedł dalej żwawo, potrząsając raz wraz toból na plecach.

„Co roku tyła przyjmo“, powtórzyli szeptem i szli za Pyrtałą tak samo żwawo i tak samo potrząsali tobołami. Szło z nimi razem i słońce. Nic a nic go nie wyminęli, świeciło im z prawego boku i ciągle było prawie razem z nimi, jeno coraz wyżej i wyżej wspinało się po niebie:



to na pół chłopa, to na całego, to na półtora, na dwóch. Poweselało na świecie, dzwonił tuż nad nimi skowronek, stado czajek z krzykiem poderwało się z Brudzewskich łąk, krążąc koło bóćka, który gizał żwawo, próżno rozglądając się wokół. Tomek Kubała nie strzymał dłużej milczenia.

Co woma gęby pozarostały? Uradziłyby co i jak w razie czego.— zawołał głośno.

He, uradzis, — zamamrotał Dreliś. — Cóż ty uradzisz? Zechcą, przyjm, niezechcą nie przyjm. Uradzisz?..

Odsapnął głęboko raz i drugi. Gromada zsolidaryzowała się z nim. Dreliś ciągnął dalej.

Komu to ochota pysk po próżnicy drzeć, kaj wiadomo, bidny nie nie uradzi. Kajś widział? Kaj?... Pambóg telo na poniewierkę bidnego stworzył, na głód, a lo wygody bogatym. Kajś widział inacyk?

Idący wciąż na przedzie gromady Partyła odwrócił się nagle.

Dreliś — zawołał — rzeknij od cego twoi babie brzucho zgrubiało?

Donośny śmiech rozległ się echem po polach. Huczało w gromadzie długo, zaś gdy przycichło, Pyrtała mówił:

Telo obman wsio i tyle. Obman i obman. Telo nas brat sielnie głupi, że... Obiecali grunt i ... zmanili. Telo się będzie bogacz przez igle ucho do nieba dzierzgoł, a tymczasem ty dzierzgaj ku jego dworowi. I kłanij się i pros i po łapskach liz i haruj i głoduj i kiej ten pies na barłogu lez...

Telo co Bóg jest chyba przecie? — wtrąciła Palusiowa.

.. Jest, nie jest... Co my do niego, kaj świat po zobaczeniu urzędził?.. odrzekł złośliwie Pyrtała i zamilkł.

Milczeli wszyscy. Wiadomo, Pyrtały nie przeprze. Uczony nie jest, a prawi, kiej ksiądz i na wszystko wykręt znajdzie. Nowe Miasto przybliżało się ku nim. Widać już siną wstęgę Pilicy. Za dwa ojczenasz przejdą most.

Pieleca, Pieleca — szepczą po chwili zmęczone usta. Poniektóry widział ją już dziesiątki razy, a przecież wybalusza oczy i ślizga się wzrokiem po tafli wód, lśniących lustrzanym blaskiem.

Zbirać się, — zakomenderował Pyrtała.

Ociągali się ze zbieraniem. Baby pokucaly kupkami i gwarzą, stara Kopina szepcze pacierz przed figurą Matki Boskiej. Nowomiejski lumpenproletarjacki tłum pod wodzą zawodowych trefnisiów-leniwych majsterków i spekulantów bucha huraganowym śmiechem. Trefnisie nawzajem prześcigają się w dowcipach i złośliwych uwagach.

Ten stary kudłaty to widać jest jeich król, he, he, he...

Chi, chi, chi... jak się ta stara trze o słup. Cholera bezwstydn! Na rynku jak świnia się cocha...

A tamta! Patrza! Cha, cha, cha... Całą dupę li widać.

Jantośka! — warknęła ze złością matka Kopina. Coś tak nogi rozłozela? Widzisz, tamci śmieją się?

Szesnastoletnia Jantośka skuliła nogi, ale tamci dowcipkują dalej



To dla rządcy prowadzą, cha, cha, cha... Drobnó na gębie. Kopankiewicz lubi takie cha-a-a... Jenó jej Kopankiewicz musi koszule kupić, boby się o paździoiry podrapał...

Tfu — splunął Pyrtala i przynaglał — zbirać się, mówię, bo nie mielo tu.

Ruszyli.

Antośka! Pilno ci do Kopankiewicza? — rzucił na pożegnanie ktoś z miejskiego tłumu. Stara Kopina do pasa zadarła kiecki. To tamtemu na odpowiedź. Zatrzęsło się od śmiechu wśród gawiedzi miejskiej. Kto w tłumie karciał Kopinę, kto upominał się za bandosami. Ho-ho-ho-ho-ho dudniało od śmiechów i wrzawy. Wśród bandosów też wrzało, na wyższych klęli „głupi, podły, łykowski naród“. Mieli już wyjść z rynku, gdy raptem zajechała im drogę bryczka zaprzężona w parę gniadych, rosłych koni.

Stój — zawołał Pyrtala i zdjął czapkę, kłaniając się w pas. Za jego przykładem wszyscy zgięli grzbiety w pałąk. Z bryczki zląził powoli rosły, czterdziestoletni mężczyzna. Pyrtala podskoczył i ucałował go w rękę.

Do wielmożnego pana — rzekł Pyrtala.

A, jaksiemasz Pyrtala — mówił pan. — Jaksiemacie wszyscy. A, poznałem Pyrtalę zdaleka, poznałem...

Kopankiewicz. Rządca — szepnęła matka Kopina córce. Wiadomo, dziewucha pierwszy raz na bandosce, więc nie zna...

Rządca traskał szpicrutą po cholewie, śmiał się, dowcipkował. Był w złotym humorze. Dobry humor opanował i gromadę. Rechotali z dowcipów rządcy, odpowiadali na pytania chórem i w pojedynkę, jak popadło.

Wydziwiali miejscy: Isz co? Z bandosami gada? Niucha baby, he? He, he, he...

Kopankiewicz sadił dowcipy.

Tego tam... Ty Pyrtala bez baby?... tego tam... he-he... obejdiesz się to?

Mało ich tu? — wali obces Pyrtala i Kopinę za pierś łapą capnął.

Cha-cha-cha-cha-dy-dy-dy. Rzekłbyś wóz po kamieniach, dudni gromada. Ciepłe słonko nad mostem już wisi. Łagodny wietrzyk twarze muska. Wiosna nadzieje budzi. Och, co za moc taka w wiosnie, co za moc. Życie wskrzesza, radością sieje, aż piersi rozpiera. Lakierowane buty Kopankiewicza lśnią w słońcu jak lustro, a słodki uśmiech wciąż igra na ustach.

Opyziałeś Pyrtala... tego tam... opyziałeś przez zimę. Ale do baby, jucho, tego... tam...

Trafnie rzekł rządca — myśli Kopina. Juźci. Kudłaty ścierwo. Za pierś ją tak urwał, ha. Na zmysły jej śpiewka przyszła. Akuraciuśko pasuje do Pyrtaly. Rozwarła szeroko gębę i charknęła na głos:

I opyziel i zgarbaciel,  
skoślawiel i oscyrbaciel.  
Chybabem zwaryjowała,  
tobym się z niem zadawała.



Zadudniała gromada. Kopankiewicz mocniej trzasnął szpicrutą w cholewę. Bracia Kubalę ku sobie podeszli i patrzą na się po bratersku. Pierwszy raz tak od roku patrzą. Słońko coraz mocniej grzeje. Wiosną pachnie, aż dusza rośnie. Zagadał Jan Kubala do brata. Wiadomo, Janowa krzywda. Tomek chałupę i grunciska morgę zarabował po ojcu. Wiadomo, liche gruncisko, że jeno trawsko ostre i twarde, kiej drut rośnie, ale przytulenie ma. Wiadomo. Ale, kiej tak coś serce zaparło złość wyżenęło do cna. Życie szło, życie!

I zgasło raptem, jak błędny ogień na łące.

Wybierzesz ty, Pyrtala, sam — powiedział rządca — dwunastu chłopów i piętnaście kobiet.

„Trzyńście ostaje“, — wyszeptaly drzące usta bandosów. Roześmiane przed chwilą oczy zaiskrzyły się dzikim, łzawym blaskiem. Błędnym spojrzeniem odprowadzają Kopankiewicza, który rażno idzie przez rynek i za chwilę zniknie w bocznej uliczce. Stoją jeszcze chwilę nieruchomo, jak martwe pale, jak skamieniałe istoty, półprzytomnie błędzą oczyma po sobie, nie wiedząc co począć.

Potęgą są ostatnie słowa Kopankiewicza, potęgą o mocy ognia. Nie uradzi im roześmiane słońce i potęga nadciągającej wiosny. Dziwną moc mają, okrutną moc, krew ścinają w człowieku, jak piorun, jak śmierć smucą i żalą.

Trudno — odezwał się cichym, nerwowym głosem Pyrtala. — Pódziwina na Mendlowe podwórze i bedziewa ciągnąć losy, bo i poco mo iść do Lipnicy, kto nie ostanie w robocie.

Powlekli się tam na to Mendlowe podwórze, tuż za miastem. Szli ze zwieszonymi głowami, jako ten zropanczony skazaniec na szubienicę. Powlekli się. Jeno gdy już stanęli na podwórzu, wystąpił Jan Kubala i oświadczył, że losów nie ciągnie.

Dwóch nas jest tu braci — wołał rozpaczliwym głosem. — Wita ludzie, jako me krzywda od brata spotkała... Chaj on wraca i tyła.

I jo nie ciągnę — oświadczyła Kopina. — Chaj wraco Mareška Zgodkówna. Wita, że chłop mój kalika jest, dziecioków ostało siedem, a Godki mają trzy morgi grunciska.

Zakotłowało się w gromadzie.

Żeby tu sąd Boski nastał, to nie ustąpię! — wołał Jan Kubala.

Dziolchę wróc swoją, ty czarownico stara! — zawrzała Maryška i z pięściami skoczyła ku Kopinej. Dziolchę wróc! Szesnaście lot mo do piro, obyńdzie się bez ni Kopankowic, obyńdzie!

W Kopinej wszystka krew się wzburzyła.

Mile! Na moją dziolchę! Jakes się ty lajdaczyła!

Maryška chwyciła starą za włosy.

Gdzieś widziała, cholero! O tobie gadają! Pierłaś, gadają, w kościele na głos! — Pierłaś, boś usnyła! Boś się lajdaczyła całą noc!

Piersi Kopinej gwałtownie falowały, ręce drżały febrycznie, wila się we wszystkie strony, usiłując wydrzeć łeb z twardych Maryścynych rąk.

Puść, cholero, puść! — darła się w niebogłosy.

Ale Maryška trzymała krzepko. Ostatnim wysiłkiem trzymała się Kopina na nogach.



Jantosia. Jantosia. Jantosia, — charczała ochryplym głosem. J-a-n-t-o-s-i-a-a-a! zawyla przeciągle, ciężko beznadziejnie, jakby po raz ostatni, a w tejże chwili ozwał się przeraźliwy jęk i skowyt: „Jezus, Marjo, moje ręce! Jezus Marjo...” i Kopina uczuła się wolna od kleszczy Maryśki, a gdy spojrzała przed siebie, dostrzegła, że opodal czai się Jantowska z żelaznym drągiem.

Boże, bądź miłościw mnie grzeszny—szeptały zmęczone usta staruchy.

— — — — —  
Żyłaste ręce bandosów, twarde, jakby byczą skórą powleczone, uchwyciły krzepko narzędzia pracy: łopaty, widły. Grzbiety unoszą ciężkie wory zbóż i co popadnie. Dudnią bandoskie śpiewki, smętne, żalodne, a wszystkie wrzaskliwe, przesywające na wylot Lipnicki bór i rozległe pola.

Hej, dobrze bandosowi, a bandosce lepi,  
jak się do ni okunum cy rządcą przylepi!

Karbowy Dziąbek, wiecznie sparty na grubej palce, nawołuje często: „Ruchać się tam, ruchać”.

Ruchają się „tam”.

Ruchają się od brzasku dnia do późnego wieczora. Olbrzymie łany tysiącemorgowych Lipnickich włości wzywają tu i tam. Tu i tam bandoskie ręce uradzają. Baby pazurami wydzierają z ziemi chwasty i zielska. Wnet wyrastają inne. W jęczmieniu ostem obrodziło. Pszenicę chaber borem tłamsi. Długie redliny marchwi w zieleni toną. Ognicha żółcią zalala łan buraków, koniki polne dzwonią: koś, koś, koś... Na łąkę pora.

„Ruchać się, ruchać”.

Włodarzy słońce i ogniem pali. W dzbanach wody nie brak. Kopina obiad warzy.

„Ech, stara wiedźmo, ty. Nagotujesz kartofli z zadrami. Spijesz resztę tłuszczu z odtłuszczonego mleka, co od wczoraj kwaśniej w komorze.

Jantowska ci kotleta od rządcy wyniesie. Mo ją Kopankiewicz, mo!

Odpyziesz przez lato. Nie zaleje ci pot ślepiów, nie zedrzesz łachmana. Stara wiedźmo, ty!”

— — — — —  
Pyrtala legł pod lipami ciężko.

Błyskał oczyma od czasu do czasu na ogród. Nasłuchiwał.

Psia jeich mać—klął,—psia jeich mać... Łoni było żarcie drogie, tero jakiś kryzys mają. Jeich mać Kryzys mają. Cięgiem tak.

Zatrzepotał w sadzie ptak. Księżyc bladą tarczą błysnął przez gałęzie lip i skrył się wnet za chmurą. Wyjrzał znów i znów się skrył, jakby się Pyrtalowej klątwy złął.

Jeich mać—klął Pyrtala sam do siebie.

Rumbum, rumbum, rumbum, rumbum,—dudniał bęben. Bandoska brać tańczyła polkę na boisku w stodole. Sad milczał.

Na zimę nie stanie nic. Abo tyła co i nic,—mamrotał Pyrtala.

Jan Kubała przyszedł pod lipy.—Janek, he!—rzekł Pyrtala—mówię ci, bez strejku nanie. Jutro żniwa. Abo teraz, abo nigdy. Łoni godol: żarcie drogie. Teraz godo: kryzys jest. Cięgiem tak!



Juści wej... tak.—Potwierdził Kubała.—I tak przepod, i tak przepod! Pięć złotych nie ostaje na miesiąc. Ni to chlib ni kartofel na zimę.

Bum-cach-cach, bum-cach-cach—tańczyła oberka bandoska brąc. Słychać klaskanie bosych nóg. Pyrtala nerwowo fiukał chwilę w takt bębna melodję znanej piosenki:

Od Łowicza — szła dziewica  
nad strumykiem siadła,  
i wody se popiła,  
bo kielbase jadła.

Tak.—zaczął po chwili Pyrtala.—Na barłogu w sopie lez, łapę liz, a przez zimę opyziejes. Słuchoj Janek. Kartofle w obierkach jodalizwa tamtą zimę. Na te i tego nie będzie. Z tamtymy godać trza!

Bździągol cosik od gromady stroni.

Trza go za łeb: mordę prać; abo teraz, abo—przepadło.

Wiatr potrząsnął liśćmi drzew. Wstał Pyrtala, za nim Jan. Każden poszedł inną drogą ku stodole.

„O cha, cha! O dziś, dziś! O uciekój! O trzymoj go!“—padały ochocze zawołania roztańczonej braci bandoskiej. Bose nogi klaskały o boisko mocno, mocniej i jeszcze mocniej—jakby deską o deskę trzaskał. Pyrtala chwycił babę i ruszył skopyta. Skłębilo się kilkanaście par i rozbiegało do szaleństwa.

Mijanego!—skomenderował Pyrtala. Rozbiły się pary i znów i znów się rozbiły. Pyrtala hula na zabój. Gębe na gębe kładzie.

Abu teraz abo przepadło—szepcze.—Bździągola szukać. Pieski syn. Pojmujeta he?

Miniać się—wrzeszczy Kubała.

Bandosowi równo zdychać. Tak i tak!

Juści tak!—potwierdzają.

Bździągola szukać,—poniosło się od ucha do ucha. Przyciągneli go skądys, czy sam przyszedł. Pyrtala odciągnął go w kąt i przyłożył pięść do łba Ty! Abo, abo?

Przytaknął Bździągol na zgodę.

Karbowy Dziąbek przerwał muzykę.

Idźta spać, jutro do kosy trza.

Kto legł odrazu, kto szeptał pacierz wieczorny. Pyrtala oka nie zmrużył. Trapiły go senne mary. Gdzie też Bździągol? Gdzie? Bandos. a pieski syn. Nie śpi w stodole. Może z dziewczką w życie? Może.

Ozwał się pierwszy ptak w sadiu. Potem drugi, więcej i więcej. Wróble zapiókały w stodole. Zbladła noc. Kubała uniósł głowę.

Wy Pyrtala nie śpicie?—skinął znacząco.

Cichcem przelazili we dwójkę przez śpiących. Baby golizną błyskały do bioder i do pępka, zgrzebne koszule bezwiednie ściągnęły pod brodę. Na dworze wionęło lekkim chłodem. Ranek budził się szybko. Kury sfruwały szukać żeru. Ktoś gdzieś ziewnął głośno.

Dziąbek—szepnął Kubała.

Dziąbek poczłapał pod rozłożysty kasztan i uderzył w zawieszony u gałęzi lemiesz.



Wstawać!—wrzasnął ktoś w stodole. Powoli dźwigano się z legowiska, ziewając głośno. Ten i ów rozkleja śliną zaropiałe oczy.

„Kiedy ranne wstają zorze”—zaintonowała jedna z bab. „Tobie ziemia, tobie morze”—wspomogło ją chrapliwym tonem kilka sennych głosów nierównie, cicho, coraz ciszej i zamilkły wnet.

Ruchać się tam: wychodzić!—wołał Dziąbek raz za razem. Nie wychodzą.

Zdrowaś Maryjo łaskiś pełna, he, co strajk?—zdziwił się Dziąbek.—Ano, kiej strajk, to strajk.—zamamrotał pod nosem i poszedł do dworu.

Strasznie wolno lazło słońce po niebie. Żółwia nikto z bandosów nie widział, ale mówią: „Jego krokiem lezie”. Wspina się i wspina... na chłopa—tydzień, na topole—miesiąc. Do południa rok się zdaje. A dwór nic... Podwieczere, a dwór nic...

Narobiłyście wy sobie.—wróży Kopina.—Po ziandarów pojechali.

Zdenerwowana łązi ponuro bandoska brać, już i podwieczere, a dwór nic. Kopankiewicz nerwowo wygląda z podwórza, wraca i znów wygląda.

Słońce już za stodołę stoczyło się, gdy na drodze ukazał się wóz załadowany zbrojnym narodem. Pyrtała poszedł do Kopankiewicza.

Wielemożny panie, rzekł,—głód nam nakazuje, głód. W rękę chciał go ucałować, ale Kopankiewicz cofnął ją.

Pszoł won! Cały świat w kryzysie tonie, a ciebie nie obchodzi nic, he?... tego... tam.. Polak jesteś niby, co? Bunta ci we łbie żydowskie, bunta?

Pyrtała w pas się zgiał i jeszcze raz do ręki spróbował.

Pszoł won! — wrzasnął rządca—i do granatowych ludzi, którzy zeska kiwali rażno z wozu, zwrócił się: „ja panów na obronę... tego... tam... Pyrtała, Kubala Jan, Bździągol... buntownicy pierwsze!

Wszyscy my!—wrzasnęli gromadą całą.—Darmo robiwa, darmo!

A z bab—mówi rządca—Agata Nicpoń, Józefa Kalita i Kopina z córką.

Jezus Marjo!—Jezus Marjo! — jęknęła Kopina. Słaniała się na nogach jak wiotka gałąź na wietrze, trzęsła się jak liść osiki, aż padła mdlejąca na ziemię,—razem ze słońcem padła, które już tylko zza kopuły ziemskiej słało ostatnie promienie na wierzchołki wysokich drzew.

Powoli kładła się na pola ciepła lipcowa noc, otulając słodką ciszą rozległe łany Lipnickich pól.

Jeno na drodze ku Pilicy Pyrtała zadawał kłam wszystkiemu majestatowi świata.

Przeklęte—mówił—ono to życie jest. Kiejby to bydlę jesteś cłowiece, kiejby to bydle! Kiejby ten pies bezdomny zyjes.

Świadczyły jego słowom ciche, ciężkie, żalosne chlipania Kopinej.



## LIKWIDATORZY MARKSA

1.

Nie jest to kwestja przypadku, że intensywna likwidacja marksizmu, jaką usiłują przeprowadzić niektóre kierunki filozoficznej myśli europejskiej, przypadła właśnie na ten okres, w którym klasa robotnicza wyciągnęła realne konsekwencje z pism swego genialnego nauczyciela. Przed tem marksizm nie był „modny“, trzeba było rewolucji październikowej i heroicznej walki narodu rosyjskiego o socjalizm, aby zatrwożone klasy posiadające zabrały się do likwidowania komunizmu. Ale żadna potężna idea nie da się zlikwidować za pomocą represyj administracyjno-prawnych; żeby zabić komunizm, należy go przewyciężyć na jego własnym ideologicznym terenie. I oto filozofowie europejscy zabierają się do przewyciężenia tej idei, która podkopuje się pod fundamenty współczesnej kultury indywidualistycznej i jej wszystkich przejawów socjologicznych i ekonomicznych. To podejście do marksizmu post factum, od strony jego realnych konsekwencji jest dla nas niezmiernie ważne, ponieważ odsłania społeczną i klasową rolę tych wszystkich, którzy rozpoczynają walkę, pozornie ograniczając „akcję likwidacyjną“ do terenu filozoficznego.

W Polsce od czasu Brzozowskiego nie znalazło się miejsce dla twórczego kontynuowania jego myśli. Sam Brzozowski nie był nawet w najlepszych swoich momentach czystym marksistą, jednak całkowite jego przekreślanie i kompromitowanie, jak to kiedyś robił Andrzej Stawar, nie wydaje się słuszne. Jeszcze dziś Brzozowski przy krytycznym doń stosunku może stać się odskocznią dla myśli marksistowskiej, właśnie on pierwszy przestrzegał przed wulgaryzatorami marksizmu, biorącymi z niego tylko żargon frazeologiczny i splotającymi niezmiernie bogatą i doniosłą treść systematu. Wulgaryzatorzy ci są w najwyższym stopniu szkodliwi już choćby przez to, że, stanowiąc wdzięczny cel ataków strony przeciwnej, ułatwiają jej doraźne zwycięstwa i tryumfy. Główna przecież walka toczy się na innym odcinku — tam, gdzie przeciwnicy uderzają w podstawowe prawdy marksistowskie.

Ale marksizm wyrósł na zasadach filozofii europejskiej i atakowanie go pociąga za sobą nieuchronne zwątpienie w cały szereg najważniejszych kierunków myśli ludzkiej. Wprawdzie nie wszystkie systematy filozoficzne są tak ściśle jak komunizm związane z intelektualizmem jednościowym, temniemniej epistemologicznie nie dadzą się od niego odzielić. Stąd też całkowita likwidacja podstaw filozoficznych komunizmu jest równoznaczna z podważeniem nie tylko Hegla czy Spinozy, ale także stoików, Platona, Heraklita i Parmenidesa. Abstrahując narazie od roz-



ważań szczegółowych, należy stwierdzić, że komunizm, który przeprowadza syntezę danych rozumowych, utożsamia wszelkie zjawiska co jest najpierwszą cechą myśli, i określa na podstawie łączności związkowej, — jest prostą konsekwencją dążeń ludzkich, wykazujących ciążenie ku jednościowaniu taksamo dobrze w dziedzinie filozofji jak i socjologii.

Likwidatorzy, nie mogąc dać sobie rady na terenie ściśle filozoficznym, sięgają po broń do arsenału nauk przyrodniczych. Jednakże teoria kwantów, której imienia zwykle się tu nadużywa a która istotnie jest sprzeczna z zasadą determinizmu, nie może być narazie wysuwana jako argument ostateczny, ponieważ znaczne powodzenie towarzyszące jej zjawieniu się ustąpiło ostatnio miejsca opinjom bardziej sceptycznym. Tak więc i ten argument fizyczny, mający świadczyć o kryzysie determinizmu w nauce i przez to przyjąć z pomocą akcji likwidacyjnej, narazie nie jest do użytku.

Ostatecznie więc na placu boju pozostaje filozofja chrześcijańska, która jest najlepiej przygotowana do przeciwstawienia się marksizmowi. Chrześcijaństwo, wcielające myśl Boga osobowego w osobowość człowieka, tem samem bardzo wysoko podnosi swą ocenę samodzielnej istoty ludzkiej, przeciwstawiając ją komunistycznej zbiorowości. I dlatego główna walka, której ostateczny wynik nie pozostawia zresztą dla nas żadnej wątpliwości, musi rozegrać się między chrześcijaństwem a komunizmem. Takie stawianie sprawy jest tem słuszniejsze, że sprzymierzeńcem chrześcijaństwa w tej walce stają się te wszystkie kierunki filozoficzne, które nie uznają hierarchicznej wyższości kolektywu nad jednostką. Z tego wniosok o charakterze ściśle socjologicznym: zagadnienie sprowadza się do konfliktu jednostek, społecznie uprzywilejowanych i zrzeszonych klasowo w poczuciu wspólnych interesów, z gromadą walczącą o to, aby jej wpływ w układzie stosunków ekonomicznych był decydujący.

## 2.

Twierdzenie niektórych apologetów katolicyzmu, że przyczyna niechęci komunistów do chrześcijaństwa tkwi wyłącznie w tym konflikcie, jest słuszne tylko częściowo. Niema żadnej potrzeby ukrywania tego faktu, że chrześcijaństwo jest eliminowane z życia wszędzie, gdzie zwycięża marksizm, właśnie ze względu na chrześcijańskie wynoszenie zasady osobowości do znaczenia, hierarchicznie najwyższego. Ale to obowiązuje jedynie w granicach spekulacji filozoficznej. Obserwując chrześcijaństwo z socjologicznego punktu widzenia, marksista widzi w niem przedewszystkiem religję i kult Boży oparty na objawieniu, który między narodowy kapitalizm stara się zawsze i wszędzie przekuć na swoją broń polityczną. obrońcy chrześcijaństwa, którzy uchylają się od dyskusji w tej drugiej płaszczyźnie, przerzucając cały ciężar zagadnienia na tereny filozoficzne, popełniają oczywisty błąd. Niechęć do religji i Kościoła tkwiła u źródeł wszystkich rewolucyj socjalnych, zanim jeszcze dyskwalifikacja osobowości przeprowadzona przez Marksa stała się podwójną filozoficzną największej rewolucji świata.



Monizm socjalny dopuszcza jedyne pojęcie Boga, jako formy hypostatycznej zbiorowości ludzkiej, co oczywiście uderza w zasadę jego osobowości. Taksamo wybitne jednostki, których rola w historii wydaje się pozornie decydująca, są jedynie ideją uświadamiającą się swego narodu lub klasy. Socjologia katolicka nie może zrezygnować z zasady osobowości, jednakże, widząc wszystkie niebezpieczeństwa z niej wynikające, usiłuje zrewidować swe stanowisko i bardziej uodpornić go na ataki. Zauważyć to łatwo już w samej nomenklaturze, gdzie termin indywidualizm, dziś już równoważny egoizmowi, zastąpiono przez *personalizm*.

Trudność dyskusji z katolicyzmem polega głównie na tem, że doktrynę, która jako argumentem ostatecznym legitymuje się wiarą, niełatwo przyprzeć do muru. Z natury rzeczy marksściści muszą uderzać w ten argument, którym socjologia katolicka osłania się jak tarczą — w samą religję i jej pochodzenie.

Socjologiczne przedstawienie rozwoju religii dostarcza dość argumentów na korzyść marksizmu. Prymitywny totemizm, powstający z wyobrażeń zbiorowych, nie jest wyrazem podświadomych tęsknot metafizycznych, ale właśnie wstępem do religii — „formy hypostatycznej społeczeństwa“. Totemizm zresztą przetrwał i kwitnie wszędzie, gdzie oficjalnie panuje chrześcijaństwo; t. zw. zewnętrzna, obrzędowa strona kultu religijnego decyduje jeśli chodzi o masy; między świętem religijnem a uroczystym obchodem zbiorowym niema żadnej zasadniczej różnicy — jest to właśnie owa hypostaza socjologiczna. Likwidatorzy udają, że nie widzą tych zjawisk, w zamian starając się udowodnić powstawanie kultu religijnego Lenina w Sowietach. Ten argument zwraca się jednak ostrzem we własnych autorów. Oczywisty fakt, że kult Lenina przybiera niekiedy charakter religijny, jest walnym sprzymierzeńcem naszego stanowiska wobec religii. Dla umiającego już czytać i pisać a nawet słuchającego odczytu przez radjo czeremisa czy tunguza Lenin bywa częstokroć religijnym przedmiotem kultu, odpowiednim tej socjologicznej fazie, w jakiej znalazła się ludność Z.S.R.R. Ale kulturalny komsomolec kanonizacji Lenina nie przeprowadza — szczybel jego socjologicznego rozwoju jest już znacznie wyższy. W ten sposób tworzą się religje, w ten sposób likwidują się. Wszystko da się umiejscowić w czasie, przestrzeni i socjologii. A gdzie w tem towarzystwie miejsce dla Objawienia?

Katolicyzm, zarzucając marksistom doktrynerskie nieliczenie się z faktami, sam nie liczy się ani z historją ani z rzeczywistością. Religja według niego jest czemś niezmiennem, niewzruszonym, niepodlegającym żadnym zmianom ani wpływom. Takie ujęcie religii możliwe jest tylko wtedy, gdy jednocześnie uznamy zasadę niewzruszonej moralności, jednakowej wszędzie i dla wszystkich. A to zostało pódważone już dawno przez socjologję, opierającą się na materjale obyczajowym wszystkich ras i narodów.

Omawiając zagadnienie, raz po raz trzeba powoływać się na zdobyte socjologii. Nic dziwnego, że doktryna chrześcijańska niechętnie ustosunkowała się do tej ostatniej. Kładąc nacisk na moralność i od niej uzależniając rozwój społeczny, chrześcijaństwo rezygnuje z czynnego organizowania życia, opartego na normach naukowych, co więcej — prze-



elwstawia się próbom takiej organizacji. Irena Gałęzowska w swej książce „Na rozdrożu socjologizmu“ twierdzi, że chrześcijaństwo jest jedynym lekiem na wszystkie dolegliwości społeczne, gdy ono bowiem zapanuje, „we wszystkich bez wyjątku, wtedy nie będzie zbrodniarzy, ani złych bogaczy, tylko ewangeliczna miłość w teokratycznej formie rządu“.

Pomijając wyraźnie klasowy sens tej enuncjacji, naiwność (czy aby tylko naiwność) takiego stawiania sprawy jest uderzająca. Gdyby nawet zgodzić się z nonsensownym twierdzeniem, że moralność chrześcijańska przerobi „złych bogaczy“ w „ewangelicznych“ miłośników, dalszy ciąg nie przestawiałby się tak różowo, jak sądzi Gałęzowska. Nawet w społeczeństwie najbardziej idealnym mogą wyrodzić się jednostki złe, które „teokratyczną formę rządu“ zużytkują w sposób najmniej zgodny z ewangelją. Chyba że uczepimy się edukacjonizmu, który wszakże zbankrutował dawno.

„Gdy wszyscy katolicy będą szukali wprowadzenia w czyn zasad miłości chrześcijańskiej — rozwiązanie ekonomiczne będzie im przydane“. Oto wskazania, których religja nie szczędzi, a których doniosła rola w podtrzymywaniu istniejącego ustroju jest oczywista. Twierdzenie to byłoby słuszne, gdyby miało szanse realizacji, jest więc tem szkodliwsze i groźniejsze. W podobny sposób ujmował to kiedyś Hercen, który wychodził zresztą z innych założeń. „Niemożna“ — pisał on w liście do wielkiego rosyjskiego anarchisty Bakunina — „uwalniać ludzi w zewnętrznym życiu bardziej, niż są oni uwolnieni wewnątrz“. Takie sformułowania o pozorach słuszności zawsze były polityczną bronią w ręku klas posiadających. Chrześcijaństwo, rezygnujące ze ściśle określonego programu socjologicznego, przesuwające dzień wyzwolenia klas wydziedziczonych w nieosiągalną nigdy przyszłość miłości ewangelicznej, jest — mniejsza o to celowo czy nie — walnym sprzymierzeńcem ustroju kapitalistycznego. I dlatego marksizm terenowy rewolucyjny, atakując chrześcijaństwo, atakuje nie jego zasadę, o której częstokroć niema pojęcia, ale przede wszystkim jego wpływ na proletarjat, wpływ niwelujący bojową prężność nowego mitu ludzkości.

Chryścjanizm, który realizuje swą moralność od 2000 lat i nie może jej zrealizować, dowiódł, że posiada w swojej doktrynie zbyt wiele materiału utopijnego, aby nie zbankrutować w zetknięciu się z rzeczywistością. Ideał moralności, który okazał się bezsilnym, nie ma żadnego prawa przeciwstawiać się realizacji społecznego utylitaryzmu.

### 3.

Atutem, który chrześcijaństwo skłonne jest najczęściej wygrywać, stała się obrona jednostek przed kolektywem. Jednostronne ujęcie tej kwestji wypływa z braku dokładnej orientacji, ze złej woli, albo też stworzone zostało przez ludzi zahypnotyzowanych obecną sytuacją w Rosji i zgóry identyfikujących wszystkie cienie rzeczywistości sowieckiej z idealnym ustrojem socjalistycznym. Jerzy Braun, który prowadzi na łamach „Zetu“ konsekwentną kampanję antimarksistowską, wręcz oświadcza, że to właśnie w imię kolektywu, gardzącego jednostką „wolno bez zmrżenia powiek wymordować milion ludzi w czerezwyczajkach“. A ks. Jaku-



bisiak sekunduje: „prawdziwe hekatombę z żyć ludzkich, składane nieustannie w Rosji Sowieckiej przez wiernych uczniów Marksa.. są następstwami spinozowskiej zasady...“ i t. d. To jest grube nieporozumienie i przykro nam, że musimy tłumaczyć rzeczy tak proste ludziom o kulturze filozoficznej. Rewolucja rosyjska była krwawa, ale czy mógł być innym wybuchem wyzwalający krzywdę ludzką? Ci chłopcy i robotnicy, którzy palili dwory i mordowali oficerów, nie znali Marksa i nie cytowali Spinozy, ale mogli łatwo zacytować niezliczone krzywdy, jakich doznali w ciągu setek lat od swoich panów i władców owianych duchem... ewangelicznej miłości. I nikt nie zmieni tego faktu, że przeciw „hekatombom żyć ludzkich“ złożonym w wojnie światowej protestowali właśnie „wierni uczniowie Marksa“ Jaures i Liebknecht, a błogosławił kompanjom wyruszającym na front episkopat Monachjum i Paryża. Obawiam się, że filozofja i demagogja podały sobie tym razem ręce, aby wspólnie zdławić znieprawionego Marksa. Ale fakty nie dadzą się wyrugować, fakty mówią same za siebie.

Zresztą wrogowie komunizmu zwykle zagalopują się w przypisywaniu mu absolutnej negacji jednostki. Idealny kolektyw nie odbiera jednostce praw do swobodnego rozwoju, a tylko ogranicza nadużycia wynikłe z zasady personalizmu. Nie potrzeba dodawać, że ci którzy prawo do nadużyć identyfikują z pojęciem swobodnego rozwoju, przysługującego każdej jednostce, nigdy nie pogodzą się z komunizmem, likwidującym personalizm wszędzie, gdzie zaczyna się jego konflikt z ideją kolektywu.

#### 4.

Dotychczas była mowa o próbach likwidowania komunizmu na terenie filozoficznym. Istnieją wszakże usiłowania przeniesienia tej walki na inne tereny, przede wszystkim ustrojowe. Działalność grupy wrocławskich skupionej koło pisma „Zet“ zmierza w kierunku filozoficznej krytyki komunizmu i równoległego rozwijania własnej doktryny ze wszystkimi jej konsekwencjami natury kulturalnej, społecznej i politycznej. Trzeba przyznać, że akcję swoją pismo poprowadziło odważnie i planowo, chociaż zanadto ekskluzywnie. Właśnie ekskluzywność Brauna doprowadziła go do całkowitej sto procentowej negacji marksizmu, jakiej nie znajdziemy u innych bardziej ostrożnych i krytycznych likwidatorów. Przytem zdarza mu się popełniać błędy niedopuszczalne; raz pisze: „Warrain obalił definitywnie triadę heglowską“, — kiedyindziej oświadcza: „krytyka transcendentna tego prawa (mowa o powszechnym prawie rozumu rozwiniętem przez Hegla) nie została dotąd u samych podstaw przeprowadzona“. Nie mogąc Hegla skompromitować całkowicie, Braun robi voltę i, ograniczając heglizm do granic spekulatywnych („Hegel — najwyższe samookreślenie się ludzkości“) neguje wartości, tkwiące w jego konsekwencjach. Mówiąc inaczej, wartość zasady ginie w chwili jej realizacji. Od takiego ujęcia już tylko krok do zupełnego odwrócenia się od filozofji, co sam Braun nazwałby prostactwem.

Zaczepiając marksistów i prowokując ich co drugie słowo do dyskusji, Braun pisze dosłownie: „wolno byłoby marksistom zignorować krytykę rozumową ich doktryny, gdyby marksizm był religią... gdyby był.



zespołem środków praktycznych, służących do zapewnienia dobrobytu fizycznego, a wyprowadzonych indukcyjnie". Punkt pierwszy mówi sam za siebie. Okazuje się, że wystarczy schować się pod płaszcz jakiegoś systematu religijnego, aby być zwolnionym od obowiązku naukowej dyskusji; wystarczy wprowadzić moment Objawienia, aby mieć słusność. Nierównie ważniejszy jest punkt drugi. Braun stwierdza słusznie, że komunizm został wydedukowany z pewnych założeń filozoficznych i wyciąga stąd wniosek, że produkt dedukcji zlikwiduje się sam przez się z chwilą, gdy upadnie jego doktryna podstawowa. Jest w tem słusność, ale tylko pozorna i jest zupełna pogarda socjologii. Braun zapomina, że socjalizm istniał in potentia już wtedy, gdy nie było jeszcze doktryny heglowskiej. Równoległe ze spekulacją filozoficzną i niezależnie od niej tworzył się komunizm ekonomiczny, wyprowadzony indukcyjnie z faktów rzeczywistych i mający na celu właśnie dobrobyt fizyczny proletariatu. Podobnie jak zasada wolnej osobowości istniała w chrystjanizmie na długo przed jej ostatecznym sformułowaniem przez św. Augustyna, tak samo świadomość determinizmu marksowskiego nie zaczęła się od Marksa, a tylko otrzymała u niego podstawy naukowe. Odrzucanie niedogodnej dla likwidatorów socjologii mści się na swój sposób.

## 5.

Ludzie, którzy marksizm tworzyli, byli w znacznie większym stopniu socjologami i ekonomistami, niż filozofami. Chodziło o wykucie broni, którą proletariąt mógłby wywalczyć drogę do nowej ery ludzkości, stawiającą na najwyższym stopniu hierarchji zbiorowość, kształtującą swe istnienie własną s w o b o d n ą p r a c ą. Należy pamiętać, że do marksizmu prowadzi droga negacji, poszukującej trwałego oparcia, aby nie zgubić się w anarchji. To jest droga rewolucjonistów, nadających walce przedewszystkiem znaczenie moralne, wydobywających ów „metafizyczny problemat jaźni“, o którym pisał Brzozowski. Ci, którzy, negatywnie ustosunkowując się do rzeczywistości przez siebie zastanej, nawracają przecież ku jej źródłom filozoficznym, skazani są na wirowanie w błędnem kole. Upośledzony gospodarczo a przez to i moralnie, proletariąt nie zna spekulacji filozoficznej, ale wie, że nie istniałaby ona gdyby nie dokonywana dzień po dniu olbrzymia ilość pracy fizycznej. Proletariąt dąży do wydobycia swej ludzkiej i zbiorowej godności i czyni to w sposób, podktowany słuszną klasową intuicją. Jeśli filozofja nie potrafi dać podstaw pod wizję jego świata i nie będzie umiała uzasadnić tej organizacji pracy i życia, jaką sobie wybrał w konsekwentnym rozwoju historii, tłumaczącej się totalnie, — tem gorzej dla filozofji.



## W SIEDEMNASTYM ROKU REWOLUCJI

Wybuch rewolucji październikowej nie był konsekwencją ideologicznego uświadomienia rosyjskich mas proletarjackich. U źródeł przewrotu tkwiła negacja istniejącego ustroju, którego pozytywnym przeciwstawieniem była jakaś, bliżej nieokreślona „swoboda“. Na ten charakter rewolucji rosyjskiej należy zwrócić baczną uwagę dlatego, że, pomijając fakty, zaczynamy traktować ją, jako świadomą realizację doktryny marksistowskiej od początku, co nie jest zgodne z rzeczywistością. Pamiętając o spontaniczności i rosyjskości pierwszych lat porewolucyjnych, łatwiej uchwycimy istotę tych najdonioślejszych w dziejach ludzkości wydarzeń i zorjentujemy się rychło, że ograniczenie kwestji rewolucji do granic wyłącznie doktrynalnych jest formalistycznym złudzeniem.

Zadanie partji w przełomowych dniach polegało na zręcznym wykorzystaniu tych elementów dynamicznych, które tkwiły w proletariacie rosyjskim i skierowaniu ich do ostatecznej rozprawy z wrogiem klasowym. Względy taktyczne wymagały, aby doktryny nie wysuwać narazie na pierwszy plan, rzucić kilka atrakcyjnych haseł i przeprowadzić ich natychmiastową realizację na terenach znajdujących się już pod władzą rad robotniczo-chłopskich. Taktyka więc zadecydowała o wytycznej postępowania WKPB, która nie mogła sobie odrazu pozwolić na konsekwentny komunizm. „Cała władza radom robotniczo-żołnierskim“, „wywłaszczenie przemysłowców i obywateli ziemskich“, „pokój chatom, wojna pałacom“ — to były hasła, za którymi szły masy, widząc ich rewolucyjność, nie wiedząc nic, albo prawie nic o komunizmie. Genjalność Lenina, jako wodza, polegała na tem że pod jego wpływem partja nie dała się skusić programowi, poddała się wymaganiom sytuacji i nie narzucała masom niczego, ponieważ w tych pierwszych latach sama stała się ich wyrazicielem, spełniającym społeczne i polityczne dążenia. Wszystko to w dostatecznym stopniu charakteryzuje pierwszy okres rewolucji, wypełniony wojną domową i stwarza perspektywę na lata następne w których zaczęto powoli realizować właściwy socjalizm i przeorywać do gruntu nietylko rzeczywistość społeczno-gospodarczą ale i samą psychikę materiału ludzkiego. Od komunizmu wojennego, konsumpcyjnego, który stwarzając jedynie pozory prawdziwego ustroju socjalistycznego, był podyktowany głównie katastrofą głodu, Rosja przeszła do gospodarki planowej, likwidując pozostałości poprzedniego ustroju i wywikłując się z licznych odchyleń od linii zasadniczej, podyktowanych partji przez konjunkturalne wymagania chwili bieżącej. Jednakże wiele posunięć właśnie konjunkturalnych nie pozostało bez doniosłego wpływu na przyszłość; nprz. znacznie późniejszy konflikt z zamożniejszym elementem



wiejskim tkwił swymi korzeniami w zbożowej polityce kierownictwa partji w okresie głodowych lat rewolucyjnych.

W okresie wojennego komunizmu partja robiła wszystkie posunięcia pod dyktando swoistego oportunistycznego, nakazującego patrzeć nie pod kątem doktryny, ale doraźnych sukcesów rewolucji. Jeśli ta linja rozwojowa rewolucji pokrywała się przeważnie z linją generalną kompartji, było to nieprzypadkowym następstwem klasowego instynktu mas, prących w kierunku bezkompromisowego realizowania integralnego komunizmu. Ale wojenny komunizm załamał się. Zupełna dezorganizacja życia ekonomicznego kraju, spowodowana z jednej strony wojną domową i głodem, z drugiej — całkowitą pauperyzacją burżuazji i wyniszczeniem wsi, domagała się środków zaradczych, znacznie łagodniejszych od natychmiastowej realizacji socjalizmu w całej rozciągłości.

Przyszedł okres nowej polityki ekonomicznej — Nep, który pozwolił na jakie takie zorganizowanie się i stabilizację stosunków. Chodziło o to, aby zebrać siły przed właściwą walką o socjalizm, walkę tym razem planową i opartą nie na konjunkturze rewolucyjnej, jak w pierwszych latach komunizmu wojennego, ale na podstawowych zasadach doktrynalnych. Przejście do gospodarki planowej, oddzielone od poprzedniego okresu śmiercią Lenina było „właściwym rozpoczęciem rewolucji komunistycznej“.

Następuje pierwsza piatiletka, a wraz z nią przestawienie zwrotnicy historycznej przez kierownicze elementy Związku. Wskutek położenia całego nacisku na konkretyzację doraźnych celów ekonomicznych na dalszy plan ustąpiły cele właściwe, socjalne, które zwłaszcza w okresie komunizmu wojennego, były zawsze silnie akcentowane. Stąd doraźne podporządkowywanie spraw, w ogólnej rewolucyjnej podziałce najważniejszych, kwestjom stosunkowo błaższym, ale w danej chwili, na danym terenie najistotniejszym. Zjawisko to po dziś dzień, niesłychanie częste, budzące masę zastrzeżeń u ludzi, nierozumiejących istoty zjawisk historycznych w Z.S.R.R. a przecież konieczne i nieuniknione.

Głównem, wysuwaniem programowo przez partję, zadaniem pierwszej piatiletki była industrializacja kraju. Przebudowa strukturalna wsi, która wysunęła się jako zagadnienie równoległe, miała początkowo charakter utylitarny i nie mieściła się w ogólnym planie. Chodziło o zorganizowanie dostawy zboża i kwestję tą postanowiono rozwiązać na drodze tworzenia sowchozów i kolchozów. Dopiero niesłychane powodzenie kolektywizacji, masowy napływ biedoty chłopskiej do kolchozów, podjęcie na wielką skalę walki z kulactwem, rozpoczętej jeszcze za czasów wojennego komunizmu — wysunęło sprawę przebudowy gospodarczej i socjalnej wsi na pierwszy plan. Jednakże geneza całego ruchu zemściła się. Fakt, że kolektywizacja traktowana była pierwotnie, jako zabezpieczenie tyłów aprowizacyjnych robotnika, walczącego w przemyśle, miał skutki bardzo doniosłe i to przeważnie w znaczeniu ujemnem. Bezplanowość stworzyła chaos, który z kolei sparaliżował na parę lat normalne życie gospodarcze wsi rosyjskiej.



Zakończenie piatiletki przyniosło pod każdym względem poprawę. Jej najważniejszym objawem było to, że chłop, który ponosił gros ciężarów i ofiar w tym okresie przestał przynajmniej głodować. Jednostronności i przerosty życia ekonomicznego uległy w latach 1932/33 nietylko zahamowaniu ale intensywnej likwidacji. Tempo pierwszych lat zostało zwolnione, wskutek czego można było przystąpić do poprawiania tego wszystkiego, co poprawy gwałtownie wymagało. Dużym sukcesem była stabilizacja waluty, osiągnięta za pomocą niemal całkowitego wstrzymania wzrostu emisji. Właściwie okres inflacji należy już do przeszłości, te bowiem objawy pozornie inflacyjne, które bezwątpienia istnieją są wtórną konsekwencją żywiłowego tempa inwestycyjnego. W związku ze stabilizacją waluty wyrównane zostały ceny na rynku spożywczym, wobec czego sytuacja przeciętnego konsumenta uległa znacznej poprawie. I tu trzeba zanotować zjawisko, socjalnie najważniejsze: osłabienie, a raczej pewne uregulowanie ruchu inwestycyjnego w dziedzinie industrjalizacji, umożliwionego dotychczas przez ogromne wyrzeczenia się całego społeczeństwa, przyniosło poważny wzrost stopy życiowej. Dotyczy to nietylko miasta, ale, co jest niezmiernie ważne, także i wsi, dziś już w większej części kolektywizowanej. Jeśli do tego bilansu dodamy, że sprawność zakładów przemysłowych i jakość ich wyrobów osiągnęła naogół wymagany poziom — pozytywne osiągnięcia pierwszej piatiletki wystąpią w całej jaskrawości. Podkreślając to wszystko, niema potrzeby ukrywać, że ogólna sytuacja nie tylko jest daleka od dobrobytu, ale wogóle nie dochodzi jeszcze do granic normalnej egzystencji. Stanowisko przeciwne byłoby niedocenianiem tych olbrzymich zadań, jakie Sowiety mają przed sobą, byłoby stanowiskiem kontrrewolucyjnym. Wystarczy jednak stwierdzić ten oczywisty fakt, że wszystkie cienie i ujemne strony życia w Rosji są wynikiem kryzysu, spowodowanego nastawieniem gospodarki na zupełnie nowe tory, oraz krańcowym kursem politycznym aby usposobić się optymistycznie w stosunku do przyszłości Związku Radzieckiego. Kryzys ten niema nic wspólnego z ustrojowym, strukturalnym kryzysem, nurtującym Europę kapitalistyczną, jest prostą konsekwencją statycznego oporu warunków materialnych, przeciwstawiających się dynamicznej sile energii i entuzjazmu proletariackiej Rosji. Ten doniosły fakt jest tak oczywisty, że tylko czynniki polityczne w których klasowym interesie leży przekonywanie opinii o załamaniu się gospodarki bolszewickiej usiłują go zapoznawać; uczciwsza i bezstronniejsza część ekonomistów europejskich uznała go już dawno.

Piatiletka była nie tylko olbrzymim krokiem w industrjalizacji kraju i kolektywizacji wsi. Jej olbrzymie znaczenie polega na wydobyciu rewolucyjnego dynamizmu z sowieckich mas, dotychczas biernych i bezwolnych. Realizując postulaty gospodarcze, znacznie większej i donioślejszej pracy dokonała piatiletka w dalszem rewolucjonizowaniu psychiki rosyjskiego proletariatu.

Rewolucja nastąpiła w kraju znajdującym się na niezwykle niskim poziomie kulturalnym i cywilizacyjnym, w kraju analfabetów, spóźnionych w rozwoju o dobrych dwieście lat w stosunku do reszty Europy. Nie dziwnego, że zadania leżące na tem polu przed rewolucją były niezmiernie



nie ważne i trudne, tem trudniejsze że Sowiety narodowo nie są jednolite ale tworzą mozaikę kilkudziesięciu narodów, szczepów i plemion.

Ale obudzenie świadomości narodowej wśród najdrobniejszych nawet plemion Syberji i Kaukazu, praca nad podniesieniem ich poziomu kulturalnego, takie osiągnięcia jak wytopienie czadry w Dagiestanie i zemsty rodowej na Czechni i Kabardzie, ugruntowanie elementarnej higjeny wśród Uzbeków i koczowników mongolskich, zwycięska walka z syfilisem i alkoholizmem wśród wymierających wskutek tych chorób szczepów tunguskich i samojezdskich — to są wszystko rzeczy w ogólnej perespektywie drobne chociaż ich kulturalna doniosłość i waga etyczna są niewątpliwe. Sprawą najważniejszą jest tworząca się nowa moralność, przewyższająca trwałością i siłą swoich dogmatów wszystko, co stworzyła dotychczas ludzkość, — moralność, psychologicznie ugruntowana na bojowej prężności i twardej nieustępliwości najlepszych kadr rosyjskiego proletariatu. Fermentacja ideowa, która przetrwała okres znużenia i odprężenia psychicznego przy końcu piatiletki i trwa po dziś dzień, nie wyszła właściwie ze swojej pierwszej fazy rewolucyjnej.

Twardość życia i trudu, wynikająca z walki, przeradza się w rzeczywistości sowieckiej bardzo często w ideał absolutny i samostatny. Jest to objaw ujemny, ale konieczny, bo spowodowany przełomowym charakterem epoki, tworzącej kulturę na gorąco, i życia, które wciąż jeszcze sta je się, wciąż znajduje się in statu nascendi.

Antynomje, z tego wynikłe zlikwidują się same przez się z chwilą gdy złagodzenie ostrości walki o socjalizm w miarę jego postępów pozwoli na pewną sublimację życia, na zwrócenie większej uwagi na nadbudowę nie tylko kultury zbiorowej, ale także osobistej kultury uczuć. Najsilniej może sprawy te zaakcentowane zostały na froncie walki o nową socjalistyczną rodzinę i swobodę stosunków seksualnych, Najzupełniejsze rozwyrżenie pod tym względem, jakie miało miejsce w latach poprzednich, rozwyrżenie o wyraźnie anarchicznym, drobno-mieszczkańskim charakterze zlikwidowało wprawdzie prostytutkę, ale zato groziło straszliwym rozprzężeniem życia rodzinnego i osobistego. Zdrowy instynkt proletariatu rosyjskiego zawrócił w czas z tej niebezpiecznej drogi i dziś kołontajowska zasada „załatwiania potrzeb seksualnych mimochodem“, niezbyt odległa od cynizmu burżuazyjnego „życia ułatwionego“ należy na szczęście do przeszłości. Doktrynerskie pomysły zupełnej likwidacji rodziny i zerwania wszelkiej łączności dzieci z rodzicami są przecie często i energicznie wysuwane, ale ich los jest przesądzony przez fakt, że kobieta rosyjska zgłosiła w tej mierze swój zdecydowany sprzeciw poparty niemniej zdecydowanym oporem.

Równoległe do usuwania przerostów i skrajności doktrynerskich, szczególnie groźnych ze względu na maksymalizm rosyjski, w dziedzinie zagadnień rodzinnych, odbywał się proces likwidacyjny skrajnych objawów internacjonalizmu integralnego. Walka z opozycją trockistowską była w gruncie rzeczy walka o rosyjskość Związku Radzieckiego. Stalinizm, rezygnujący z natychmiastowej akcji rewolucyjnej w skali światowej, na rzecz istniejącego już państwa proletarjackiego, tem samem podporządkował cele i dążenia Kominternu dążeniom i celom rosyjskiego



komunizmu o niezaprzeczalnych cechach narodowych. Utopijny trockizm stający na gruncie negatywizmu rewolucyjnego, który nie posiadając psychicznych związków z proletariatem rosyjskim, dochodził do zupełnego nihilizmu, zaostrzył istniejącą już antynomję wewnątrz partji komunistycznej. Dogmatyka trockistowska w praktyce byłaby przekreśleniem dorobku kilkunastu lat wytężonej i heroicznej pracy proletariatu rosyjskiego na rzecz rewolucji wszechświatowej. Pozornie jest to konsekwencja leninizmu, traktującego Rosję, jako bazę wyjściową, faktycznie jednak identyfikuje się ze skrajnym internacjonalizmem, od którego Lenin—rosjanin z pochodzenia, ściśle z ziemią i proletariatem zespolony, był bardzo daleki. Plan rewolucjonizmu Trockiego byłby siłą groźną dla sprawy proletariackiej... gdyby nie jego słabość. Stalinizm pogodzony z grupą Bucharina, i poparty powagą nieprzejednanego dotychczas Rakowskiego, którego ostatnie posunięcia trockizmu nie mogły nie zrazić—zlikwidował ostatecznie wszelkie internacjonalne odchylenia. Wprawdzie Trockij usiłował założyć IV międzynarodówkę, dążąc do odciążenia rewolucyjnych kadr proletariatu zachodnio-europejskiego od Komiternu, ale odcięty od terenu działania przestał odgrywać jakąkolwiek rolę polityczną. Czy nihilizm neokominternowski ma jakie szanse zorganizowania się i skrzepnięcia, trudno dziś przesądzać — w każdym razie Rosja odskocznią jego działalności nie będzie.

Tak więc programowa niwelacja różnic narodowych i odrębności rodzinnych poniosła klęskę. Doświadczenia lat ubiegłych, pełne załamania i niepowodzeń obok olbrzymich zwycięstw, pozwoliły proletariatusowi rosyjskiemu bliżej podejść do właściwych metod budownictwa socjalistycznego. Walka o ideał komunistyczny trwa dalej i z roku na rok, z dnia na dzień, w ciężkim wysiłku mas, zdobywa nowe tereny. Pzewidzieć już dziś, kiedy zostanie ona skończona, nie można i niema potrzeby. Wystarczy stwierdzenie, że walka ta trwa i że jej wynikiem będzie ustrój, po raz pierwszy w dziejach ludzkości podporządkowujący interes jednostki interesom gromady, która z kolei wszystkim jednostkom do niej należącym da pełne prawo do życia i swobodnego rozwoju.



STEFAN STRACHOCKI

## LEKARZE BEZDOMNI

### PROBLEM INTELIGENCJI.

Antynomjalny charakter współczesności najsilniej chyba dał się we znaki t. zw. inteligencji, która, nie posiadając stałej bazy ideologicznej, narażona została na szereg wstrząsów i zaburzeń tem intensywniejszymi, czem szybciej zbliżamy się ku katastrofie starego świata. Wyodrębniona z historycznego trzeciego stanu przez proces kapitalizacji ekonomicznej, inteligencja szybko straciła swą spójność wewnętrzną i stała się jakgdyby miniaturą całego społeczeństwa, rozbitą na ugrupowania, mniej lub więcej odpowiadające podziałowi na klasy. Z chwilą, gdy emancypujące się mieszczaństwo zweeklowało na tory współpracy z grubą burżuazją, jednocześnie zasilając rozkładającym się elementem własnych dołów powstający proletariąt fabryczny, sytuacja inteligencji zaczęła stawać się specjalnie przykra i uciążliwa. Związana z burżuazją licznymi i silnymi węzłami, nie mogła jednak inteligencja zdobyć się na oficjalne z nią przyznanie ze względu na swe zawsze żywe tradycje antyklerykalne, wolnościowe i rewolucyjne. Już wtedy inteligencja znalazła się na rozdrożu; od wpędzenia do ślepego zaułka wybawiły ją dążenia i ruchy narodowe, z taką siłą nurtujące ówczesną Europę. One właśnie stały się deską ratunku, do której uczepiona, mogła inteligencja odgrywać przez pewien czas jeszcze fałszywą rolę grupy ponadklasowej; — wystarczyło jednak, że doniosłość spraw narodowych zmalała w zetknięciu się z kwestjami ekonomicznymi, aby pozornie ponadklasowa inteligencja doświadczyła na sobie dziejowej konieczności walk i starć klasowych.

W Polsce zagadnienie skomplikowało się jeszcze bardziej w związku ze specyficzną sytuacją polityczną i narodową. Mit niepodległości przyjął tu na siebie reprezentację wszystkich rewolucyjnych fermentów, podporządkowując własnym celom socjalistyczny mit proletariacki i czyniąc zeń odskocznnię do akcji, której właściwy charakter, wówczas zafałszowany i zmimetyzowany, dopiero po wojnie wystąpił w całej jaskrawości. Powstanie niepodległego państwa, będące przypieczętowaniem całego ruchu, ostatecznie wytrąciło grunt z pod grupy inteligenckiej. Wprawdzie doraznie najwięcej skorzystała z odrodzenia samodzielnego bytu właśnie inteligencja, która na spółkę z drobnomieszczaństwem zagarnęła wszystkie możliwości, z tamtego faktu wynikające, i potraktowała niepodległość, jako dawno oczekiwany immunitet, dobrze przez udział w konspiracji niepodległościowej wysłużony. Za cenę tego immunitetu poszła inteligencja na sojusz z kapitalizmem, który zresztą trwał w pierwotnej, harmonijnej formie dopóty, póki występujące coraz jaskrawiej objawy katastroficzne



nie wznieciły popłochu i nie rozpoczęły intensywnej anarchizacji społeczeństwa.

Nie umiając zająć zdecydowanego stanowiska wobec podstawowej antynomii klasowej, inteligencja oscyluje wśród walczących grup, stara się uciec na nieistniejącą platformę ponadklasowego solidaryzmu i coraz częściej umiejscawia się między młotem a kowadłem, nie mając nawet tej złudnej pociechy, że jej wyimaginowana niezależność wynosi ją ponad rozgardziasz walki społecznej. Rozkładowy, gnilny proces starej kultury zaawansował się najbardziej wśród inteligencji jako warstwy skłonnej do szybszego dekadentyzowania się, niż mieszczaństwo integralne, bardziej bezwładne, a przeto dłużej korzystające z wyczerpujących się akumulatorów przeszłości. Faszystowską terapię, mającą zgangrenowanym członkiem zwrócić siłę i prężność młodości, stosuje kapitalizm głównie do mieszczaństwa, wiedząc, że zanarchizowana i przeżarta egocentryzmem inteligencja może odgrywać nadal swoją klasową rolę, ale bojowej energii koniecznej przy tworzeniu nowych mitów społecznych nie posiada.

Pretensje inteligencji do ponadklasowości w społecznej praktyce nie spełniły się; miały zato ten skutek, że odebrały jej przydział społeczny i sam proces szybkiej lumpenanarchizacji podniosły do godności intelektualnego clerkostwa, neutralizując resztki jakiegokolwiek instynktu klasowego. W wyniku tego samozakłamania doszła inteligencja do rezultatu, zdawało się najmniej oczekiwanego, a przecież logicznego — do programowego hedonizmu, niosącego najniższą, biologiczną afirmację życia ludzkiego. Po raz któryś tam z rzędu spotkała się inteligencja z burzazją, rezygnując z otwierających się przed nią olbrzymich możliwości odrodzeńczych na drodze kulturalnej i socjalnej proletaryzacji. Bezdomność ideologiczną, napróżno identyfikowaną z bezstronnością, uznano za zaletę, eigenbrödlerstwo rzucono, jako hasło, nurt niewyżytego rewolucjonizmu skierowano w wąskie łożysko zagadnień higieniczno-sanitarnych, gdzie skutecznie obraca młyny życia ułatwionego na cześć i chwałę kapitalizmu. Ostatecznie cała organizacja naukowa świata, propagowana przez lekarzy bezdomnych w oderwaniu od rzeczywistości społecznej, skurczyła się do granic reformistyki seksualnej. Przewaga zagadnień tego rodzaju jest dla socjologa niezmiernie cenną legitymacją istotnego oblicza współczesności. Panseksualizm zawsze towarzyszył rozkładowym, dekadentckim okresom kulturalnym, podczas, gdy powstawanie nowego życia charakteryzuje surowość obyczajów, nieodłączna od psychiki bojowników i zdobywców. Hedonizm inteligencki jest najzupełniejszym archaizmem. Rewolucyjny mit ludzkości powstał nie poto, aby odjąć człowiekowi pracę i do ostatecznych granic wypłókać życie z twórczego trudu, ale poto, by stworzyć życie, którego natężenie musi przewyższać natężenie wszystkich spraw zastanych i minionych. Życie, wyrzekające się ciężaru pracy w myśl zasad ułatwiających, jest życiem niepełnym, skrepowanem właśnie przez brak wszelkich trudności i niegodnem człowieka czynu. Życie, które o nic nie walczy, z niczem się nie zмага i do niczego nie dąży, ponieważ wszystko jest ułatwione i do wygodnej konsumpcji przystosowane, dochodzi w rezultacie do całkowitej rezygnacji z tego co najcenniejsze — z człowieczeństwa.



Te odłamy inteligencji, które w kolportowaniu hasła hedonistycznych posunęły się najdalej, spełniają zadanie rozbijania wszystkich więzów, łączących każde społeczeństwo. Brak instynktu klasowego, a raczej jego osłabienie, tak charakterystyczne dla bezdomnych proroków, włożyło w ich ręce broń obosieczną. Wysuwając sprawy seksualne i higieniczne na pierwszy plan, freudyzm i boyizm spełniają pracę kontrewolucyjną;—jednocześnie, wyzwalając wszystkie niewyżyte kompleksy wśród mieszczaństwa deprawują go i osłabiają do reszty jego siły. Tem właśnie tłumaczy się fakt, że nprz. Boy-Żeleński i jego działalność spotkała się z krzyżowym ogniem ze wszystkich pozycji. Jeszcze jeden powód do zaakcentowania swej „niezależności“ i „ponadklasowości“; — w gruncie rzeczy jest to niezależność bakcyła, rujnującego żywy organizm, ale na nim pasożytującego i ginącego wraz z nim. Hedonizm podpiłowuje gałęzie, na których sam siedzi i z których nigdzie się nie będzie mógł przenieść, ponieważ w nadchodzącej epoce kultury proletariackiej, afirmującej pracę i wynoszącej do najwyższej godności etyczny stosunek do pracy, miejsca dla niego nie będzie. Walka toczy się o to, aby praca, która jest traktowana jako przekleństwo i faktycznie w ramach ustroju kapitalistycznego zasługuje na to miano, stała się najwyższym prawem i przywilejem, nadającym każdej jednostce jedyny sens istnienia i ludzką godność.

Prawdziwą ucztą dla socjologa jest wertowanie wrażeń i opisów inteligentkich podróżników po Rosji Sowieckiej. Mimowoli w tych wyznaniach obnaża się z przerażającą brutalnością anatomja psychiczna inteligencji, jej przystępowanie do olbrzymich przeobrażeń historycznych z łokciem własnej ubożuchnej duszyczki, jej strach przed wszelkim trudem na większą miarę, jej instynktowna obawa przed wielkością, paniczne światopoczucie mrówki przydeptanej przez słonia. Ta najzupełniej błaha, nie nieznacząca rzecz, że Rosjanie chodzą w zniszczonych ubraniach, że kobiety ubierają się skromnie, że komfort życiowy usunął się na dalszy plan wobec doniosłych wypadków, przeobrażających oblicze świata — rozdmuchiwana jest i podkreślana przez inteligentkich sprawozdawców ze specjalną skwapliwością. Z wielkiej burzy dziejowej inteligencja zrozumiała akurat tyle, że gdzieś tam podmyło klomby ogrodowe, a komuś zerwało z głowy kapelusz. Ocenianie świata miarą przyjemności, przezeń dostarczanych, łatwości ich użycia mści się niezwykle dotkliwie. Ileż to razy ten czy ów bezdomny lekarz usiłuje dyskwalifikować kulturę komunistyczną nie dlatego, że nie zgadza się ona z jego światopoglądem, ale dlatego, że jest według niego nudna, nie dostarcza tej sumy łatwych rozrywek i przyjemności, bez których świat traci dla niego wszelką rację istnienia. Oczywiście, ludzie, którzy sądzą, że ich zadaniem i prawem jest wyciągnięcie maksimum radości z życia przy minimum włożonego wysiłku, mogą łatwo znudzić się kulturą pracy, oceniającą jednostkę według jej twórczych wartości, a nie zalet towarzyskich i t. zw. kultury osobistej, w tym wypadku oznaczającej umiejętność prześlizgiwania się przez życie.

Idąc jeszcze dalej w tym kierunku, dochodzimy do ogólnej laicyzacji i zobojętnienia wobec spraw religijnych, co należy ocenić ujemnie, choćby to miało brzmieć paradoksalnie w ustach marksisty. Areligijność inteli-



gencji nie pochodzi z programowej zasadniczej negacji chrystjanizmu, ale jest znów wynikiem ułatwiania sobie życia, powstała wskutek anarchicznego wylamywania się z wszelkich rygorów etycznych, niewygodnych o tyle, o ile ich przyjęcie zmusza do jakichkolwiek, najmniejszych choćby, wyrzeczeń się i ofiar.

Z proletarjackiego punktu widzenia fakt że ecclesia militans znajduje coraz mniej bojowników, jest zjawiskiem tylko dodatkiem — ale surowość oceny inteligencji musi jeszcze wzrosnąć. Zły pion etyczny nie przestaje być pionem, — galareta będzie zawsze mierzwą, z którą czynny, dynamiczny element ludzkości nie ma potrzeby ani obowiązku liczyć się w najmniejszym choćby zakresie. Z tych samych powodów ma on pełne prawo zdyskwalifikować okrzyczany humanitaryzm inteligencki, który — niepoparty dynamiką woli i czynu — stał się już tylko frazesem.

Humanizm prawdziwy powstaje tylko tam, gdzie jednocześnie istnieją środki do jego egzekutywy; środków tych mogą dostarczyć właśnie ludzie o psychice agresywnej, ludzie nastawieni zdobywczo w stosunku do swojej prawdy życiowej, idący wciąż naprzód, a nie kręcący się dookoła frazesu, upozorowanego na bóstwo.

Ale jakże tu żądać dynamiki od ludzi, sprowadzających swój ideał życiowy do sprawnego automatu, wydającego naprzemian czekoladki i prezerwatywy, i do abulji doprowadzających programowy pacyfizm woli. Pacyfizm! — oto jeszcze jedna reduta inteligencjonizmu, taksamo zmurszała, jak i tamte. Jedna kropla krwi Jauresa, który uzasadniał swój pacyfizm nie strachem przed trudami wojny i śmiercią, ale świadomością istotnego podłoża imperjalistycznego kataklizmu, zaważyła więcej na szali historii, niż całe biblioteki grubych tomów, feljetonizujących na straszliwym temacie, tak jak końskie muchy żerują na padle. Pacyfizm komiwojażerów bez żadnego związku ze zbiorowością, histrjonów frazesu, uzurpatorów haseł, w imię których nikt nie odda życia i nikt ich nie wypisze na sztandarach! Któryż z nich wyciągnie konsekwencje z głośzonych słów, któryż odnajdzie w sobie dostateczny imperatyw etyczny, aby ponad grzędę zakutych w hełmy głów wyrzucić, nie garść literackich trocin, ale ręce, zbrojne w żelazo przeciw żelazu! Ci humanitarni bojownicy pacyfizmu odśługują lojalnie wojsko, regularnie wpłacają składki członkowskie na Lopp, a gdy przyjdzie wojna, czekają na pokój, aby... wzbogacić biblioteki o kilkaset tonn makulatury antywojennej. A później faszyzm, usiłujący recydywą barbarzyństwa ratować zagrożone pozycje kapitalizmu, zgromadzi te tysiące tomów na placach i podpali, aby płonęły jak dymiące gromnice przy łożu konającej kultury!

Negatywny stosunek militarystów do programowego pacyfizmu liberalnej inteligencji jest tem samym najzupełniej uzasadniony. Tamci są przynajmniej konsekwentni. Stojąc na gruncie kapitalistycznego ustroju i nacjonalizmu, rozumieją, że militaryzm jest ich przedłużeniem i logicznym uzupełnieniem. Pacyfiści oskubują listki i owoce, wmawiając w siebie i w innych, że jest to właśnie praca nad usuwaniem zła. Przypomina się przebojowe haselko Boy'a o „demobilizacji macie“, tak, jakby przyrost ludności był jedyną i najważniejszą przyczyną mordów imperjalistycznych. Wskazywanie półśrodków tam, gdzie mogą pomóc jedynie



lekarstwa radykalne, kładzenie całego nacisku na przyczyny błahę przy jednoczesnym zapoznawaniu istotnych, przeskakiwanie na skrzydełkach feljetonu nad najbardziej karkołomnymi zagadnieniami, grzebanie się w drobnych sprawkach aktualnej dzisiejszości obok zupełnej pogardy elementów, antycypujących przyszłość, — czyż to nie jest dyskretnie zamaskowana, pod parasolem humanitaryzmu ukryta, defenzywna robota kontrrewolucyjna? Cóż za świetne przyczynki do reklamowanej ponadklasowości.

Na początku bieżącego stulecia inteligencja zajmowała stanowiska może podobne, ale popierwsze wtedy nie nastąpiło jeszcze zróżniczkowanie haseł, po drugie socjalna sytuacja inteligencji była zupełnie inna. Ogólnikowość, brak dokładnej konfrontacji były wtedy djalektycznie usprawiedliwione i na tle ówczesnych stosunków ekonomiczno-socjalnych wyglądały najzupełniej logicznie (marksistowskie geschichtlich bedingt). Dziś jest już inaczej. Fakty, które zaszły w międzyczasie, przyniosły daleko idącą korektę historyczną i we właściwym świetle ukazały przyczyny niechęci inteligencji do wyciągnięcia konsekwencji z doświadczeń ostatniego dwudziestopięcioletnia.

Zaprzątanie sobie głowy i czasu surową oceną warstw inteligencjskich byłoby zbyt bezsensowne, gdyby nie to, że jednak możliwości regeneracji wartości kulturalnych wśród inteligencji, nie zostały jeszcze całkowicie zaprzepaszczone. Aby ta regeneracja nastąpiła, musi inteligencja przede wszystkim unarodowić się, to znaczy odciąć się raz na zawsze od burżuazyjnego internacjonalizmu intelektualnych przekupniów i poprzez ścisły kontakt z proletariatem, poprzez twórcze współżycie z jego etniczną, rasową kulturą dojść do internacjonalizmu innego, socjalistycznego, będącego wspólnym ponadklasowym pnieniem rozgałęziających się kultur narodowych. Inteligencja ma dziś do wyboru: albo pocieszać się nadal nazwą intelektualnej elity i wraz z burżuazją brnąć ku własnej zgubie, albo wyzwolić się z pod wpływów kultury hedonistycznej propagującej anarchję obyczajową, bałagan moralny i etykę indywidualistów — konsumentów, otrząchnąć się z impresjonizmu ideologicznego i przez wyrobienie w sobie dyscypliny społecznej i przywrócenie opartej na tej dyscyplinie hierarchji wartości dojrzeć do współpracy społecznej z proletariatem, aż do zupełnego z nim zespolenia. Dotychczasowe klęski mogą wtedy stać się natchnieniem tragicznej radości walki, spoglądającej zło prosto w oczy. A gdyby nawet walka ta miała zawieść i nie doprowadzić do zwycięstwa w ramach jednego pokolenia, sam fakt podjęcia walki wystarczy, aby stworzone przez nią dynamiczne siły przetrwały i w następstwie doprowadziły rozpoczęte dzieło do końca.



WŁADIMIR MAJAKOWSKI

## NIEZROZUMIALSTWO W POEZJI

Nigdy nie widziałem, żeby ktokolwiek chwalił się: jaki ja jestem mądry — arytmetyki nie rozumiem, francuskiego nie rozumiem, gramatyki nie rozumiem“.

Ale wesoły zew: „ja nie rozumiem futurystów“ — grzmi od piętnastu lat, cichnie i znów się budzi, raduje i podnieca. Na tem jednym hasle ludzie budowali osobiste karjery, w jego imię urządzali zbiórki i stawali na czele nowych prądów. Jeśli montowanie całej t.zw. lewej sztuki odbywało się z intencją programowego niezrozumialstwa — zrozumieć tą sprawę i umiejscowić ją odpowiednio w historii literatury nie jest trudno.

Zrozumiał, że stawiają na niezrozumialstwo, przypiął etykietkę i zapomniął. Zwykle „my nie rozumiemy“ — to nie wyrok. Wyrokiem byłoby: „zrozumieliśmy, że to straszny nonsens“, a dalej z pamięci i na wszystkie tony dziesiątki jaskrawych przykładów. Tego niema. Odstawia się demagogję i spekulację na niezrozumialstwie. Sposobów tej demagogji, uszminkowanej na powagę, różnorodność niemała. Zwróćcie uwagę na niektóre.

„Sztuka dla niewielu, książka dla niewielu jest niepotrzebna. Tak czy nie?“

I tak i nie. Jeśli książka obliczona jest na niewielu z tem, aby być przedmiotem użytku wyłącznie tych niewielu, i poza granicami tego użytku żadnych funkcji nie spełnia — istotnie jest niepotrzebna. Jeśli książka została zaadresowana do niewielu tak, jak energję Wołchowstroju zaadresowano do kilku transmitujących podelektrowni z tem, aby te ostatnie dostarczyły otrzymaną i przerobioną energję tysiącom żarówek — taka książka jest potrzebna. Książki te mają niewielu adresatów, ale adresatami są w tym wypadku nie odbiorcy, lecz wytwórcy. Są to nasiona sztuki przeznaczonej dla mas. Przykład—wiersze Wilemira Chlebnikowa. Narazie zrozumiały tylko dla siedmiu towarzyszy—futurystów, przez całe dziesięciolecie łądowały one akumulatory młodych poetów, a dziś nawet akademja chce ich utrupić specjalnem wydaniem, jako wzoru klasycznego stylu.

„Radziecka proletarjacka, prawdziwa sztuka powinna być zrozumiała dla szerokich mas. Tak czy nie?“

I tak i nie. Tak, ale z korektą, obliczoną na przyszłość i propagandę. Sztuka masowa dostępna tłumom odrazu się nie tworzy, jej umasowienie osiąga się w wyniku całej sumy wysiłków: krytycznej analizy w celu ustalenia trwałości i istnienia pożytku, organizacji przez partję



i władzę udostępnienia jej masom w razie stwierdzenia tego pożytku, wyboru odpowiedniej chwili i wreszcie równowagi między problematyką książki a dojrzałością odpowiednich zagadnień wśród mas. Czem lepsza książka, tem więcej wyprzedza ona wypadki. Masowość — to suma i wynik naszej walki, a nie koszula, w której przychodzą na świat szczęśliwe książki jakiegoś literackiego genjusza. Zrozumiałstwo książki trzeba umieć zorganizować.

„Klasycy—Puszkina, Tolstoj—są rozumiali dla mas. Tak czy nie?”

I tak i nie. Puszkina był rozumiany całkowicie tylko przez swoją klasę, przez to społeczeństwo, którego językiem przemawiał, pojęciami i emocjami operował. Była to pięćdziesiąt-stotysięczna rzesza romantycznych marzycieli, wolność miłujących gwardzistów, nauczycieli gimnazjalnych, panienek z rodowych pałacików, poetów i krytyków, i t. d.—słowem tych wszystkich, którzy tworzyli czytelniczą masę owych lat. Czy rozumiały Puszkina współczesne chłopskie masy, niewiadomo, z tej prostej przyczyny, że—wogóle czytać nieumiały. Dziś likwidujemy ich analfabetyzm, ale nawet u nas dziennikarze skarżą się, że umiejący już czytać i pisać chłop nie rozumie jeszcze zdania, w którym są dwa zaprzeczenia, na przykład „nie mogę nie powiedzieć, że...“ Jakże miał on wtedy a nawet i dziś zrozumieć niezmiernie długie i ocudzoziemskie okresy „Eugenjusza Oniegina“. Narazie dostępne są dla wszystkich tylko prostackie i straszliwie nudne bajki o Sałtanach, rybakach i rybkach. Wszyscy robotnicy i chłopci rozumieją całego Puszkina (sprawa nietrudna) i rozumieją go tak samo, jak rozumiemy my—lefcowcy: najcudowniejszy, najgenialniejszy, największy wyraziciel poezji swoich czasów. Zrozumiawszy, przestaną czytać i oddadzą historii literatury. A studjować i znać Puszkina będą tylko ci, którzy specjalnie zainteresują się nim w ogólnym szkolnym planie. Pokarmem czytelniczych, sowieckich mas—klasycy nie będą. Będą poeci dzisiejsi i jutrzejsi. W ankiecie o Tolstoj N. K. Krupskaja cytuje słowa komsomolca, który znudzony zwrócił „Wojnę i Pokój“—: „takie rzeczy można czytać tylko wylegując się na otomanie“. Pierwsi czytelnicy Puszkina mawiali: „czytać tego Puszkina niepodobna, szczęki bolą“. Jutrzejsze wszechrozumienie Puszkina będzie stuletnią koroną kucia i nicowania.

„Jeśli jesteście rozumiali, to gdzie wasze nakłady?“ Pytanie powtarzane przez każdego, kto ilością sprzedanych egzemplarzy mierzy wartość i potrzebność książki dla robotnika i chłopca. Nie rozpowszechnili się? O czem tu mówić. Wyrównujcie z „Nowym światem“ i Zoszczenką. Zagadnienie rozpowszechnienia naszych książek — to zagadnienie finansowych możliwości tych grup, na które książka jest obliczona. Nasz czytelnik — to wuzowska młodzież, robotnicza i chłopska komsomolka, rabkor i początkujący pisarz, z natury rzeczy zobowiązany do notowania wszelkich objawów naszej kultury. Jest to czytelnik najmniej finansowo zabezpieczony. Niedawno otrzymałem list od pewnego wuzowca z Nowoczerkasska. W liście wkładka-koperta zrobiona z „Lefu“ i otrzymana jako dodatek do ogórków. Wuzowiec pisał: „od paru lat marzyłem o zaprenumerowaniu „Lefu“, ale cena dla nas niedostępna, nareszcie dostałem bezpłatnie z ogórkami“. Oto przyczyna dla której nie cleszą nas nakłady dwurublo-



wych tomów. Mamy w podejrzeniu ich nabywcę. Wyjście chwilowe — zakupy biblioteczne. Ale tu konieczne jest, aby te czynniki, które zrozumiały pożytek książki, organizowały jej przenikanie w masy. „Kupować was zacząć, gdy powstanie masowy popyt“. Tak powiadają bibliotekarze.

W Leningradzie w klubie przy Putilowskiej fabryce czytałem swoje „Dobrze“. Potem rozmowa. Jakaś bibliotekarka radośnie krzychała z tłumu: „Aha aha, — a was nikt nie czyta, nikt nie zapyta nawet, — macie“. Melancholijny bas z drugiego rzędu odpowiada: „Kupuj — czytać będziemy“. Zapytuję bibliotekarkę: „A wy polecacie książkę czytelnikowi? Wyjaśnicie potrzebę jej przeczytania, budzicie w nim zamiłowanie do czytelnictwa?“. Obrażona odpowiada z godnością „oczywiście — nie, moi czytelnicy mają zawsze wolność wyboru“. Ten sam bas protestuje: „Kłamie ona — ona Kawierina radzi czytać“. Sądzę, że bibliotekarze, którzy spełniają rolę obojętnych rejestratorów książek są nam niepotrzebni. Bibliotekarz powinien być agitator-em-propagandystą komunistycznej, rewolucyjnej, potrzebnej książki. Widziałem kiedyś w Baku taką bibliotekarkę. Czytelnicy nie chcieli wypożyczać moich książek. Bibliotekarka zrobiła z różnych wierszy paździenikowy litmontaż i przerobiła go z czytelnikami niemal siłą. Wczytali się, potem znaleźli w czytaniu przyjemność. Przestali czytywać wiersze prymitywne. „Czytanie rzeczy skomplikowanych“ — powiada bibliotekarka — „nie tylko było satysfakcją ale podwyższyło poziom kulturalny“.

Recytowałem przed chłopami w Liwadyjskim pałacu. Recytowałem ostatnio w bakińskich dokach, w fabryce im. Szmida, w klubie Szaumjana, w tyfliskim klubie robotniczym, — recytowałem, wylazłszy na warsztat tokarski podczas obiadowej przerwy, przy akompaniamencie cichnącej zwolna maszyny. Oto jedna z licznych not, otrzymanych od fabrycznych komitetów:

*„Wydane poniższe przez fabryczny komitet Zakaukaskiej fabryki metalurgicznej imienia Lejtenanta Szmida tow. Majakowskiemu Włodzimierzowi Włodzimierzowiczowi na dowód, że tegoż dnia wystąpił w cechu przed robotniczym audytorjum z produkcją własnych utworów. Po zakończeniu recytacji tow. Majakowski zwrócił się do robotników z prośbą o wypowiedzenie wrażenia i określenia stopnia chwytliwości utworów. W tym celu zaproponowano głosowanie, które wykazało całkowite zrozumienie wierszy, ponieważ „za“ głosowali wszyscy z wyjątkiem jednego, który oświadczył, że, słuchając samego autora, lepiej rozumie jego utwory, niż w czasie czytania. Obecnych było — 800 ludzi“.*

Ten jeden — to buchalter.

KOMENTARZ REDAKCJI: Artykuł Majakowskiego wydrukowany był w „Nowym Lefie“, z dnia pierwszego stycznia 1928 roku p. t. „Was nie rozumieją robotnicy i chłopci“. Zamieszczamy go w tem przekonaniu, że sprawy w nim poruszone nie straciły dotychczas nic ze swej aktualności. Uważny czytelnik znajdzie szereg wspólnych między uwagami rosyjskiego poety a sąsiadującym artykułem Marienholza. Przekład jest dość swobodny. W szczególności opuszczono dwie cytaty z Briusowa i Puszkina, oraz kilka zdań, zahaczających o bieżące sprawy rosyjskie, czytelnikowi polskiemu nieznanym i dziś już nie aktualnym. Rozstrzelania drukiem — nasze.



## ANTYNOMJE POEZJI WSPÓŁCZESNEJ

Nie może podlegać dyskusji fakt, że trudna sytuacja, w której znalazła się poezja współczesna, jest wtórnym zjawiskiem, wynikiem z podobnych trudności w dziedzinie ogólnokulturalnej, a także politycznej i socjalnej. Natrafiamy tu na źródła kryzysu ogólnego, jednakże, wykrywając je, musimy pamiętać i o tem, że nie tylko one są decydującymi czynnikami. Nadbudowa kulturalna posiada także swoją dość znaczną autonomję, której negowanie uniemożliwia poprostu krytyczne badania nad sztuką. Pisząc o tem, pragnę przede wszystkim wskazać na cały szereg procesów dialektycznych, zachodzących w dziedzinach ściśle formalnych, zatem odgraniczonych od ich ideowych i socjologicznych ekwiwalentów.

Ortodoksyjnie sądząc, dziewięćdziesiąt dziewięć procent współczesnej poezji polskiej — to burżuazyjna makulatura, przemycająca pod pokrywką estetyzmu tendencje wrogie proletarjatowi. Oceniając ją w ten sposób, łatwo orzekniemy, że w perspektywie przyszłości nie ma ona żadnych momentów zaczepienia, jest bezpłodna i skazana na zgon bez następców.

Dla usunięcia wszelkich nieporozumień chciałbym możliwie dokładnie wyrazić tę prawdę, że praca artysty i jego wysiłek nie koniecznie muszą zgadzać się w czasie z powstaniem społecznego tej pracy rezonansu. Niejednokrotnie potrzebne są dziesiątki lat, aby to, co współcześnie miało wszelkie pozory antikolektywnej twórczości, w następstwie znalazło pełne socjologiczne usprawiedliwienie swego istnienia. I odwrotnie: artysta, który całkowicie i bez reszty poddaje się bieżącym wymaganiom społecznym, wchodzi na drogę dość niebezpieczną, ponieważ splecając bezpośrednio dług, zaciągnięty u gromady, ryzykuje powierzchowność, szablon i tandetne, publicystyczne wykonanie. Nikt nie zaprzeczy społecznej wartości archimedesowych obliczeń, a przecież, gdyby Archimedes zajął się wyłącznie wynalazkami mającymi na celu techniczną obronę Syrakuz, nie byłby spełnił swego zadania i nie dał matematyce nowych praw. Okazuje się więc, że popularne powiedzenie o płonących lasach i różach nie może, jak i tyle innych „latających słówek“, pretendować do słuszności. Czasem ci, co w najbardziej przełomowych momentach hodują róże, czynią więcej, niż weterynarze z jednodniowych lazaretów artystycznych.

Dochodzimy tu do zagadnienia, któremu na imię: konflikt między t. zw. poezją czystą i poezją społeczną. Już w samej terminologii popełniono tu błąd. Każda prawdziwa, o znamionach wielkości poezja jest bez wyjątku społeczna w tem znaczeniu, że jej artystyczne wartości prędzej czy później znajdują swój użytkowy wyraz. Poezja estetyzująca, formalistyczna nigdy nie wzniosła się do poziomu, na którym można mówić o wielkiej twórczości, — i to bez względu na to, co powiedzą sami poeci.



przeważnie bardzo mało w kwestjach teoretycznych kompetentni. Civilisations — literaci skłonni są widzieć swą sztukę w aspekcie wyłącznie estetycznym, co jest oczywiście nieporozumieniem, albo programową ucieczką od socjologii. O wartości dzieła sztuki decydują przecież także i sprawy pozaformalne, a to, że oddziaływanie ich odbywa się drogą pośrednią przez uprzednią formalizację, — w niczem mojego założenia nie dyskwalifikuje. Z drugiej strony niewłaściwe rozumienie i stosowanie marksistowskiej teorii estetycznej doprowadza do lekceważenia zasad rzemiosła poetyckiego.

Rosja powinna stać się pouczającym przykładem dla naszych młodych poetów, którzy niejednokrotnie nie widzą, jak wiersz jest napisany, ponieważ znajdują się pod całkowitą hipnozą tego, co zostało w nim wyrażone. Zresztą rosyjska krytyka już się połapała. Coraz częściej słyszy się i czyta narzekania na szablonowość młodej poezji bolszewickiej, na estradowe nastawienie większości literatów, a znana formuła Bezymienskawa: „przedewszystkiem jestem członkiem partji a dopiero później poetą“, zaczyna budzić coraz większe i energiczniejsze zastrzeżenia.

Istotnie bardzo problematyczne musiałyby być wartości, wypracowane drogą metod, identyfikujących politykę ze sprawami fachowemi, cóż dopiero artystycznemi. Po usunięciu tych nieporozumień i uzgodnieniu kwestyj będziemy już o krok od rewizji utrzymującego się ciągle podziału na lewą i prawą stronę barykady; podział ten, aczkolwiek socjologicznie najzupełniej słuszny, w płaszczyźnie rozważań nad estetycznemi wartościami utrzymać się nie da w swej ortodoksyjnej postaci, taksamo, jak jednostronne stosowanie sprawdzianu użyteczności, o czem była już mowa powyżej. Twierdzą, że podstawy do określania i nazywania są i muszą być bezwzględnie inne. Tu znowu przykład Rosji, pozytywny tym razem, który dla wielu nie umiejących myśleć samodzielnie, będzie jedynie autorytatywny. Odpowiadając na ataki skierowane przeciw egocentryzmowi najwybitniejszego poety współczesnej Rosji, Borisa Pasternaka, znaczny odłam krytyków i literatów zaprotestował energicznie przeciw wulgaryzowaniu krytycznych metod artystycznych. Między innymi oświadczone, że Pasternak i jego praktyka poetycka jest zbyt skomplikowana, aby stosować prostackie metody, odpowiednie przy ocenie Kirsanowa czy Biednawo. (Patrz w tej kwestji mowę Bucharina na zjeździe pisarzy proletarjackich).

Broniąc formalizmu tak właśnie pojętego, bronimy jedynie tych pozytywnych wartości sztuki burżuazyjnej, które nie straciły swego ciągu w przyszłość i do których musimy jednak nawiązać wszystkie wysiłki, zmierzające ku stworzeniu sztuki proletarjackiej. Procesu jej powstawania nie podobna traktować w oderwaniu od kulturalnego podłoża, — stąd wniosek: dopóki kultura proletarjacka, dziś jeszcze u nas nie istniejąca, nie powstanie, niema mowy o prawdziwej proletarjackiej poezji, a wszelkie próby w tym kierunku podjęte muszą w najlepszym razie pozostać twórczością prekursorów. Nacisk rzeczywistości ekonomicznej, oraz opór jaki stawia stara kultura samą mocą swego bezwładu — wystarczają, aby zredukować do minimum usiłowania naszej lewicy literackiej. Ta pesymistyczna ocena, opierające się na żelaznych prawach dialektycznych,



nie dyskwalifikuje bynajmniej twórczości polskiej lewicy, a tylko zakreśla jej granice znacznie szersze, niż to ona sama sobie wyobraża.

Okresy w historii walk klasowych schyłkowe i przełomowe charakteryzuje paradoksalne na pozór zjawisko: obok jaskrawych różnic społecznych i bardzo wyraźnych konfliktów brak ostrych granic między poszczególnymi grupami w społeczeństwie. Granice te zacierają się, stają się niewidoczne, ponieważ interes klasy panującej wymaga, aby je maskowano za pomocą ideologicznej prowokacji i społecznej mimikry. Taka defenzywna robota ma jednak tę dodatnią dla proletariatu stronę, że w parze z nią idzie osłabienie klasowego instynktu u klasy uprzywilejowanej, a więc coś w rodzaju socjologicznego samobójstwa. Najwyraźniej zjawiska te występują właśnie w literaturze, gdzie z łatwością obserwujemy, jak przedstawiciele mieszczaństwa prowadzą działalność z punktu widzenia własnej klasy destrukcyjną, jednocześnie jednak ani na chwilę nie wychodząc poza jej granice. Taką rolę wziął na siebie kiedyś symbolizm rosyjski, — u nas jego odpowiednikiem stała się Młoda Polska i jej kontynuatorzy skupieni w Skamandrze, Czartaku i grupach pokrewnych. Wypraktykowali oni artystyczne założenia modernizmu, doprowadzili je do najwyższego rozwoju i zamknęli nowy rozdział w historii literatury, do której już sami od dawna należą. W ich postimpresjonistycznej twórczości mieszczaństwo polskie znalazło ostateczny wyraz swej estetyki i swego światopoczucia. Stąd mimo pozorów była to twórczość schyłkowców, tak samo jak futuryzm był degeneracją wartości kulturalnych rozkładającej się klasy. Temniemniej i skamandrycy i futuryści nie pozostaną bez wpływu na najbliższą przyszłość, ponieważ kilku utalentowanych ludzi z pośród nich potrafiło wypracować szereg nowych wartości, które domagają się kontynuacji. Zaszło tu zjawisko, które w historii literatury ma swoje precedensy. Tak nprz. Słowacki był jednocześnie spóźnionym schyłkowcem baroku i prekursorem symbolizmu; to, co rosyjskiej poezji dał klasyczny, chwilami pseudo-klasyczny Puszkina, kontynuujący dzieło Łomonosowa i Dzierżawina, po dziś dzień nie zostało twórczo wykorzystane i długo jeszcze będzie zapładniać młodych poetów.

Epigoni polscy — to albo potomkowie Skamandra, do absurdu doprowadzający aintellektualistyczny sensualizm swoich mistrzów, albo abstrakcyjniści, których charakteryzuje modernistyczna celebracyjność i znamienne dla schyłkowców liturgiczne namaszczenie, lub też wreszcie pseudoludowcy, parodjujący zewnętrzne chwytły poezji chłopskiej. Na przykładzie tych ostatnich najwyraźniej występuje rozkładowy proces wśród zdeklasowanych chłopów, przypiętych do inteligencji a jednocześnie uporzędkiwie podkreślających swe pochodzenie ze wsi, z którą nie mają nic już wspólnego.

Twórczość epigonów nie znajduje żadnego usprawiedliwienia, ponieważ w doraźnym sensie społecznym będąc bez wartości, jednocześnie nie reprezentuje takiego ładunku artystycznej potencji twórczej, aby mogła liczyć na socjologiczny rezonans w przyszłości.

Czynnikami równoważącym artystyczne klusownictwo epigonów jest ten odłam młodej poezji, który najchętniej sam siebie obdarza nazwą awangardy. Do niedawna a gdzieś i dziś jeszcze terminem „awan-



garda<sup>4</sup> określano wysiłki krakowskiej grupy integralistów, skupionych najpierw przy Zwrotnicy, później Linji; obecnie awangarda tak pojęta stała się zupełnym anachronizmem. Integralizm poetycki reprezentowany przez Kraków odegrał swoją rolę zapładniającą i usunął wiele przesądów poetyckich, jednakże będąc teorią o wyraźnie doktrynerskich cechach, nie może pretendować do wyłączności. Stąd też awangarda w sensie jakiejś zwartej grupy, wyznającej wspólne credo artystyczne, wogóle nie istnieje a te kilkanaście nazwisk, które pod jej hasłami żeglują, to poprostu kilkunastu utalentowanych poetów, usiłujących przeciwstawić się epigonom Skamandra i stwarzać nowe wartości, ale idących do tego celu różnymi drogami.

Sensualizm, odziedziczony po skamandrytach i formalistyczne złudzenia integralistów odbiły się groźnym echem w najmłodszej poezji polskiej, której nie zawsze wystarcza siły, aby samoistnie i szczęśliwie wybrnąć z tych niebezpieczeństw. Stąd też instynkt społeczny nie zawsze daje sobie u nich radę z zastarzałymi receptami idealizmu i przerostami zbankrutowanego estetyzmu. Sytuacja wikła się jeszcze i przez to, — że maksymalizm ortodoksyjny polskiej lewicy stawia literaturze wyłącznie żądania polityczne, zaniedbując kwestje formalne.

W związku z tem utarło się i rozpowszechniło z gruntu fałszywe przeświadczenie o aestetycznej postawie marksistów, którzy, oceniając świat wyłącznie w socjologiczno-ekonomicznym aspekcie, pozbawieni są jakoby wrażliwości estetycznej. Jak się rzekło, u wielu socjologów marksistowskich łatwo dostrzegamy oschłość i obojętność wobec zjawisk estetycznych, ale mankament ten nie wpływa w żadnym razie z doktryny przez nich reprezentowanej, — jest wspólną cechą większości społeczników, bez względu na to jaką ideologię reprezentują.

Nie od rzeczy będzie tu przypomnienie podstawowego pojęcia dialektyki, według którego synteza artystyczna wynika z zetknięcia się tezy—surowca (treści) z tegoż surowca formalizacją, czyli antytezą treści. Plechanow wogóle nie dopuszcza oddzielania treści od formy, twierdząc, że w utworze artystycznym nie istnieją już one w postaci samodzielnej, ponieważ zostały zsyntetyzowane w coś nowego, w form o—treść. Istotnie, dialektyczne pojęcie ilości w dobrym gatunku nie pozwala na analizowanie treści w oderwaniu od formy i odwrotnie.

Rewolucyjność formalna najmłodszej poezji polskiej polega na programowym rozbijaniu starych kanonów i wypracowywaniu nowych. Daleko idące zagęszczenie metaforyczne i niezwykle ważna rola inspirująca metafory nie były najważniejszą zdobyczą awangardy, chociaż jej teoretycy właśnie na to położyli największy nacisk. Najważniejszych i najśmielszych posunięć dokonano (bodajże niezupełnie świadomie) w dziedzinie rytmiki, której możliwości rozwojowe zostały zupełnie w okresie poprzednim zignorowane. Podczas gdy większość tradycyjnych strofkarzy doprowadziła w praktyce poetyckiej do tego, że rytm stał się tautologią metryki, awangarda, rozbijając strofę, uwolniła rytm, czyniąc zeń to, czem być powinien: „intonacyjny gest narodzin wiersza“ (An. Bielyj).

Do świadomości młodych poetów powinien dotrzeć ten aksjomat, że rytm i metryka są to zjawiska najzupełniej immanentne, których nie



wolno utożsamiać pod grozą zubożenia poezji o szereg pierwszorzędných wartości. W swoim czasie Czuchnowski instynktownie wyczuł nowe perspektywy, otwierające się przed rytmem w nowej proletarjackiej poezji. Ale pisząc o porzuceniu starego „burżuazyjnego rytmu“, Czuchnowski nie wyciągnął wszystkich konsekwencyj ze swego stanowiska i nie wykazał na czem ma polegać nowy rytm proletarjacki.

Metoda wyłącznie formalistyczna, a więc burżuazyjna, działająca w literaturze per analogiam do szkoły historycznej, negującej transformizm rewolucyjny w socjologii, wysuwa na pierwszy plan strofę, formy zastygłe w kanonach — i metrykę skłonna jest przeciwstawiać swobodnej rytmice. Natomiast metoda dialektyczna odrzuca statystyczny pogląd na poezję i, dynamizując pojęcie rytmiki, wyzwala ją z dawnych zastygłych i już rozkładających się form. Nie należy jednak zapominać, że rytmiczna swoboda nie jest równoznaczna z rytmiczną anarchją; wyzwolenie rytmu idzie w parze z wypracowaniem nowej formy, której klasowość znajduje wyraz w zdyscyplinowaniu, a przezwyciężenie staroburżuazyjnych kanonów przynosi rytmiczną i metryczną wielopostaciowość.

Skłaniając się ku takiemu właśnie stanowisku i częściowo realizując powyższe zasady, awangarda, mniej lub więcej świadomie, bierze udział w montowaniu zwycięstwa proletariatu na własnym poetyckim terenie. Okazuje się, że zlekceważone i wyśmiane powiedzenie Peipera o rewolucji, którą przygotowywał na zwrotnicowym papierze, nie jest ani nonsensem ani paradoksem, choć niebezpieczeństwa, wynikające z upajania się takimi powiedzeniami, są zupełnie wyraźne. W gwarze wielkiego miasta, w hałasie politycznej chwili sprawa reprezentowana przez artystów wydaje się niewielka i mało znacząca; jednak jej oddziaływanie i jej zasięg historyczny przewyższa znacznie jednogodzinną wagę wydarzeń dnia i jego piekących kwestyj. Takie zrozumienie roli artysty, którego trud, będący wynikiem kolektywnego zamówienia, powraca w użytkowej postaci dopiero w przyszłości, powinno stać się własnością młodej lewicy literackiej. Inna rzecz że nie przyjdzie ono samo z siebie, ale wyrośnie jako wtórna takiej postawy wobec życia, która będzie identyfikacją własnej wizji poetyckiej i światopoglądowej z wizją walczącego proletariatu.



## WŚRÓD ZDOBYCZY I NIEPOROZUMIEŃ

Na wstępie sakramentalne zastrzeżenia. Że artykuł ten ma charakter zlekka marginesowy. Że nie rości sobie żadnych pretensyj do syntezy. Jest próbą uporządkowania inwentarza dyskusyjnego. Dyskusyjnego, ponieważ nawiązuje do sporu zasadniczego, jaki się w literaturze polskiej jednak toczy. Od „Zwrotnicy“ i Peipera, poprzez Irzykowskiego i „Linję“ aż do wystąpień najmłodszych. Płacze się w tych rozmowach dyskusyjnych sporo nieporozumień, dużo rzeczy nieistotnych. Oczyszczenie gruntu od tych gruzów to pierwszy obowiązek krytyki literackiej. Patrolowaniu niejako dzisiejszości poetyckiej przy jednoczesnem omijaniu walnego frontowego starcia jest poświęcony szkic niniejszy.

A więc poezja integralna. Integralna to nie to samo, co awangardowa (Irzykowskiemu ku uwadze!). Integralizm taki, jakim go ukazał w swej rozprawce Brzękowski, to trzy, cztery nazwiska, awangarda — to nazwisk kilkanaście. Wprawdzie Brzękowski wymienia Czechowicza, Czuchnowskiego, Piętaka, żagarystów, ale czyni to tylko tam, gdzie ich twórczość przypadkowo dostarcza argumentów teorii integralistycznej, — całkowite ich przyjęcie rozsądziłoby dość ciasne ramy integralizmu. Dlatego w broszurce są zanalizowane wiersze Przybosia, Ważyka, Brzękowskiego, Peipera — i niczyje więcej; uwzględnienie reszty młodych musiałoby doprowadzić do zrewidowania stanowisk i poglądów. Jednostronność w doborze nazwisk łączy się z jednostronnością i pewnem doktrynerstwem poetyckiem. Występuje też wyraźne sugerowanie się własnem nowatorstwem. Skłonność do rewelowania. A w istocie nowinek absolutnych niewiele. Znacznie więcej walorów już istniejących, a tylko rzadko przedtem używanych, zatem o posmaku wynalazczym. Nprz. kwestja dźwiękowości wiersza, którą podnosi Brzękowski i podkreśla Przyboś. Muzyczne wiązanie poetyckie, oparte na odpowiedności alliteracyjnej, ma tu poruszać i ożywiać wyobraźnię, głównie za pomocą zestawiania słów podobnych, lecz pojęciowo odległych (dola-dolar, pęd-pęt). Pomijam już, że chwyt ten bynajmniej nie jest nowy. Zna go dobrze poezja rosyjska. Kamienskij uprawiający swoje „zgara ambá“, umiał to doskonale. Porównaj także Pasternaka: „zamiorszyj trup, zatiortawo do samych trub norwieżca“. Ale i sama wartość poetycka takich efektów wydaje mi się wątpliwa. Poeci, przyjmujący strukturę dźwiękową wiersza, powinni raczej ambicjonować się rytmem, ponieważ przedewszystkiem tu tkwi źródło muzyczności; w każdym razie alliteracyjność tak jaskrawa, jak w „Chabrach“ Brzękowskiego jest ułatwieniem sobie zadania. Bardziej komplikowali sprawę poeci dawniejsi. W Rosji A. Bielyj stworzył całą teorię, którą nazwał „m e l o d y z m e m“ i wysunął przeciw wybujałemu imażynizmowi



uprawiającemu do skrajności posunięty kult metafory. Jest sporo naiwności w powadze, z jaką integraliści podkreślają swoje zdobycze na tem polu. Stanowczo nie będzie złośliwością, jeśli stwierdzimy, że wszystkie te alliteracje, dźwiękowe pars pro toto, peiperowskie jąkanie się (żart, żart, ż, art, Artur) nie odbiegły daleko od osławionego „z domu Jędykowiczówna“. Różnica taka, że tam traktowano sprawę lekko, a tu odkrywano Amerykę, — rezultat zaś zbliżony.

Nie wiele też wartości dopatrzeć się można w używaniu dwuznacznych wyrazów, nprz. „pienił się“, „czas pełźnie“. Co do tego drugiego, sądzę, że jego dwuznaczność nie była zamierzona przez Przybosia, ale powstała przypadkowo: całe otoczenie tego zwrotu wskazuje, że chodzi tu o czas pełznący, płynący powoli (analogja do „minuty mijają nas“). Ale Brzękowski jest specjalnie wrażliwy na homonimy i widzi w ich stosowaniu ciekawe asocjacje. Tkwi w tem niebezpieczeństwo programowego kalamburzenia w poezji, co lepiej zostawić feljetonistom. Ostatnio natrafiłem w „Poemacie barbarzyńskim“ Łobodowskiego na kalambur rozwinięty w całym obrazie. Wiersz „strumień księżycą głowę w srebrnych ramionach kołysze“ można tłumaczyć dwojako. Albo: „strumień księżycą — głowę (wojownika leżącego w trawie) w srebrnych ramionach kołysze“, — albo: „strumień — księżycą głowę — w srebrnych ramionach kołysze“. Jest to sztuczka (nie wiem czy zamierzona) dość sprytna, ale niczego nieprzesadzająca. Dla wartości poetyckiej utworu obojętna.

Wieloznaczność obrazów, w cytowanym obrazie nieszkodliwa, bo powierzchowna, tai w sobie niebezpieczeństwo całkowitego niezrozumiałstwa. Dlatego też Przyboś zaprotestował przeciw dowolnemu interpretowaniu wierszy, twierdząc, że nic z nich nie można wybierać, należy „przyjąć wszystkie znaczenia“.

Teoretyczne bogactwo metaforyczne (jakościowe) nowej poezji nie zawsze znajduje swój wyraz w praktyce. Zarzut hipertrofji należy tu rozumieć, jako nieobecność treści poetyckiej, zduszonej przez metaforę i niedopuszczonej do głosu. Określiłbym to raczej, jako elefantiasis obrazowania. A dołączają się jeszcze grzechy popełniane przez elipsę. Wyrzutnia członów pośrednich powoduje takie zdekompilowanie, że wiersz już nic nie znaczy. Brak świadków — poetycki proces umarza się automatycznie.

Dla przykładu i nauki przeczytajmy wiersz Brzękowskiego p. t. „Niedojrzały uśmiech“. Wiersz w czytaniu był dla mnie niezrozumiały. Brzękowski dodał wykład. Zrozumiałem, co chciał Brzękowski wyrazić, ale zdania swego nie zmieniam. Albo więc jestem uparty, albo Brzękowski nie umiał w wierszu powiedzieć tego, co tłumaczy w komentarzu. Konfrontujmy.

ostracyzm snów pomalowanych na kolor czerwony, kolor wielkości  
i myśl zabiegliwa i słodka jak banan  
ależ oczy są koloru nieba, nieba zbudowanego z ostryg  
które przysrajają słońce, wielkie kurze jajo przemian



nie można być zbyt łakomym — ten półmisek radości  
świadczy może o fizycznym zdrowiu — ale to nie to — bowiem  
należy wiosnę przez pośpiech w ustach uprościć  
i maj zielony jak uśmiech nalać w kieliszki purpurowe

„Ostracyzm snów“ ma znaczyć, że poetę nawiedzają sny, których sobie nie życzył, a więc skazał na banicję w sposób niesprawiedliwy, tak jak greckie sądy skorupkowe skazały wielu wybitnych ludzi, o wielkich „pomalowanych na kolor czerwony, kolor wielkości“ planach. Z ostracyzmem i czerwonym kolorem można się zgodzić, ale wymaganie, aby czytelnik na podstawie analogji historycznej (któryż z miłośników poezji przypomni sobie tutaj Milejadesa?) zrozumiał, że sny poety zasługiwały na lepszy los, jest wygórowana. Takich zdolności asocjacyjnych nie posiada najlepszy nawet czytelnik. To samo z bananem. „Zabiegliwa myśl staje się“ — tłumaczy Brzękowski — uprzykrzoną, słodką jak banan. Dlaczego uprzykrzoną? — komu banany sprzykrzyły się? Polski czytelnik — a dla niego przeznaczony jest wiersz — nie wyczuwa tego, dla niego banan jest rzadkością. Gdyby nie to, że uwagę zwraca tu przedewszystkiem przymiotnik „słodki“, — znaczenie odwróciłoby się. Zamierzone częstotliwie zmieniliby się w rzadko, wyjątkowo. Jeszcze gorzej wpadł Brzękowski w następnym wierszu. Pochodzenie metafory: „niebo zbudowane z ostryg“. Przedtem jest mowa o czyichś oczach koloru nieba. Ponieważ brzegi ciała ostrygi mają rzęski, powstaje kombinacja, którą można tak przedstawić:

oczy z rzęsami — ostrygi posiadające podobne rzęsy  
niebo tegoż koloru co oczy — obłoki na niebie w kształcie ostryg

Mechanizm eliptyczny jak na dłoni — cóż z tego, skoro nie działa. Nie widziałem ostrygi i nie podejrzewałem, że ma rzęsy podobne do rzęs ukochanej. Paryżanin (Brzękowski mieszka w Paryżu!) były zapewne domyślniejszy. Ale ostrygi w żaden sposób nie przywołują obłoków. Nie przywołują samodzielnie. Czytelnik musi sam odcyfrowywać. Zamiast wyobraźni w grę wchodzi kombinacja. Te ostrygi zaraz się nam odbijają. Początek drugiej strofy — „nie można być zbyt łakomym“ — Brzękowski tłumaczy, jako odgrodenie się od pragnienia zmiany i nowości. Tak było w intencji. Ale nagrodzenie w poprzednich wierszach artykułów gastro-nomicznych (banan, ostrygi, jajo) zdecydowanie sugeruje, że chodzi właśnie o nie, tembardziej, że zaraz potem mowa o półmisku. Powstaje kołowacizna, bo jednocześnie zdajemy sobie sprawę, że takie zestawienie nie ma sensu. Asocjacja swoje — zdrowy rozum swoje. Wniosek: nie należy błahej skądinąd myśli o wielkich snach poety, zagłuszanych przez radość życia, wtlaczać w takie słowa, które, chcąc znaczyć zbyt wiele, nie znaczą już nic. Bądźmy sprawiedliwi — nie jest to najlepszy wiersz Brzękowskiego. Wziąłem go pod skalpel, bo chodziło o skonfrontowanie autora i jego wyjaśnień z reakcją czytelnika.

Nie uderzam w samą zasadę budowy eliptycznej, — uważam ją przecież za słuszną; chciałem tylko na przykładzie udowodnić, że nieostrożność w eliminowaniu doprowadza do rebusów. Obraz, który nie narzuca się silnie naszej wyobraźni, którego znaczenie trzeba żmudnie wy-



kombinowały, — nie ma wartości poetyckich. Peiper, utrzymujący, że „metafora jest tworzeniem związków pojęciowych, którym nie w świecie realnym nie odpowiada“, ponosi najwięcej chyba winy. Ekwiwalentyzowanie uczuć odbywa się u niego właśnie drogą pojęciową, a nie wyobrażeniową (słynne „okruceństwo z cukru“).

Do przesądów należy śladem Irzykowskiego zaliczyć postulat „równomiernego rozmieszczenia napięć poetyckich“. Wprawdzie „wiersz powinien mieć w całości swej jednakowe napięcie, kondensując walory poetyckie na całej przestrzeni poematu“, ale zależy, jak to stosować w praktyce. Jednakowość — ale nie jednostajność, równomierność — ale nie niwelacja, dbałość o wszystkie partje wiersza — ale nie styl koszarowy. „Każde zdanie powinno mieć wartość pointy“ — powiada Przyboś. Na szczęście, tylko w teorii. W praktyce inaczej („chłopcze, zwycięski w roku osiemnastym“).

A teraz rytm i rym. Kurek pragnie rytmu zmiennego, ponieważ rytm współczesnego życia jest taki sam. Przyboś ma więcej racji. Propaguje unizm rytmiczny, gdyż jednolitość i zwartość wiersza tego wymaga. Oczywiście unizm — to nie rygor jednego metrum. A jak z rygorem stroficznym? Czy naprawdę wiązania stroficzne godne są lekceważącego uśmiechu? Oto wiersz „Parada śmierci“. Budowa: abxb—acze—dfdf. Strofy czterowierszowe. Rytm i połączenia znaczeniowe zmodyfikowane, przez co osiąga się wrażenie wolnego wiersza. Inny wiersz Przybosia „Okna“. Abab — cded — efg — efg. Najwyraźniej sonet. Tyle tylko, że ilość sylab nierówna. Często obecność strofy maskuje przechodzenie rymów. Coś w rodzaju tercyny. Nprz. „Miłość“ Jalu Kurka. Abcabxc — efgxfeg.

Z kwestją rytmu i strofy łączy się zagadnienie rymu. Nowatorzy najzupełniej słusznie zaczęli walczyć z jego tyranją. Zgłuszyli uprzykrzony hałas końcówek. Czasem przez używanie długich miar rytmicznych, częściej przez stosowanie oddalenia. Niektórzy poszli za daleko. U Czuchnowskiego zdarzają się rymy i asonanse oddalone o pięć do ośmiu i nawet dziesięć wierszy. Wobec tego, że większość wierszy ma ponad dwadzieścia sylab, rymy zostały nietylko przygłuszone, ale wogóle ich nie słyhać. Powstaje dziwaczne zjawisko rymów optycznych. Przyboś proponuje rymować wiersze, odpowiadające sobie pod jakimś względem, nprz. uczuciowym. Można tak — można inaczej. W każdym razie rymy powinny być wyczuwalne, w przeciwnym razie tracą rację bytu.

Integraliści są lirykami. Jeden Peiper zdradza epickie skłonności, co wypływa z wyraźnej jego predylekcji do prozy. Pewnie dlatego Przyboś pisał w „Linji“, że „symbolizm raz na zawsze wyświecił z poezji motywy epicko-racjonalistyczne“. Znów nieporozumienie, które wartoby dokładnie naświetlić i przedyskutować! Narazie rzeczywistość zaprzeczyła Przybosiovi. Czuchnowski wydał już trzy poematy. Inni młodzi mają widocznie te same tęsknoty, skoro w drobnych wierszach zerkają wyraźnie w stronę epiki (Miłosz, Putrament, Łobodowski, Piętał). Moda, czy naturalna konsekwencja pewnych procesów i zjawisk? Zdolny publicysta, ale słabszy poeta, Maśliński urągał w „Kurjerze Wileńskim“ złudzeniom epickim swoich kolegów. Ale wszystko zdaje się wróżyć odwrót od wyłącznego liryzowania.



## NA FRONCIE POETYCKIM

### I.

Pierwsze publikacje poetyckie żagarystów wileńskich ukazały się jeszcze w początkach 1933 roku. Zdawałoby się więc, na recenzowanie czas conajmniej spóźniony. Skoro jednak tomiki te zostały przemilczane niemal zupełnie, podczas gdy książki zdeklarowanych grafomanów znajdują czas u recenzentów i miejsce na łamach pism literackich, należy zademonstrować przeciw ludziom złej woli i artystycznej ignorancji.

„Ostrze mostu“ Jerzego Zagórskiego — to książka bodajże najciekawsza i najwięcej obiecująca, ale bardzo nierówna. Zupełnie prostacki wiersz o poetach i nagrodzony „państwowotwórczy“ o rewolucji majowej to juvenilia, których obecność w książce trudno usprawiedliwić. Bardzo piękny, choć zdaje się nieco ze względu na cenzurę okastrowany, poemat o Ukrainie jest pewną niespodzianką. Tradycjonalizm stroficzny i rytmiczny, zwroty prawie młodopolskie, (książe z mieczem, urna) kolidują wyraźnie z resztą książki, zdecydowanie nowatorskiej, trudnej, a jednocześnie po młodzieńczemu sfermentowanej i raz po raz wymykającej się osądom recenzenta. Wiersze, niepospolite przede wszystkim przez znaczną potencję twórczą w nich zawartą, niepokojące swą atmosferą, zawierające silny ładunek liryczny przy pozornej ośchłości, poszukujące nowych zestawień stroficznych i rytmicznych. Rozwicherungie walczy tu z dążeniem do konstrukcji, niezdecydowanie formalnie łączy się ze świadomości komplikowaniem. Oryginalność niewątpliwa: właściwie żadnego nazwiska ani izmu nie można do Zagórskiego dopasować. Zarzuty powinny dotyczyć licznych niewybredności i prozaizmów, chropowatości i dziwactw; są to zresztą jednocześnie i zalety, ponieważ świadczą o utalentowanej wybujałości, bez której niema poetyckiej młodości. W sumie ambitna, dużo zapowiadająca książka.

„Poemat o czasie zastygłym“ Czesława Miłosza jest niezwykle zwarty i jednolity. Wynikło to chyba z większego niż u Zagórskiego opanowania się poety, który już w pierwszym swoim tomiku jest zadziwiająco spokojny i pewną ręką buduje swój gmach poetycki. Są to wszystkie wiersze o wielkiej plastycznej wyrazistości, klarowne tak bardzo, że aż niemal klasyczne. Jest tak jakbyśmy patrzyli przez wielkie tafle kryształu, niezmacone żadną skazą, ani pęknięciem. Stąd nieruchomość wizyj poetyckich, brak gwałtownych krótkich spięć lirycznych; trwa powietrze, przesycone elektrycznością i hieratyczna powaga posągów, znieruchomiałych w epickim spokoju. Miłosz jest surowy i patetyczny, ale jego patos niema nic z rozhułkanego żywiołu, jest pełnym znaczenia gestem, który zastygł — i oto widzimy każdy marmurowy załom i każdy fałd szaty, spływającej ku sto-



pom. Niema chyba współczesnego poety o równie wyrazistej i klarownej atmosferze. Te klasyczne samoopanowanie podkreśla rytm, który jest przeważnie powolny i ociężały, jak granitowe sandały posągu. Chwilami wpada poeta w prozaiczną rozlewność, ale są to momenty dość rzadkie i krótkotrwałe. Surowość poetyckiego rzemiosła i osobista odpowiedzialność sprawiły, że nieco zimny patos Miłosza ogrzany został tchnieniem sprawy społecznej, której niespokojny rytm nawet te powolne strofy potrafił zelektryzować i rozwichrzyć. Poeta rzadko pozwala się tematowi sprowokować i nawet wtedy, gdy jego spokojny zazwyczaj głos wznosi się do krzyku, panuje nad nim i nad sobą. Dalszy rozwój powinien tu chyba pójść po linii oczyszczenia zasadniczego tonu i jeszcze większym zdyscyplinowaniu poetyki. Pogłębienie swojej ideologicznej postawy wobec rzeczywistości społecznej będzie drugim etapem dojrzewania wileńskiego poety, który już dziś należy do czołowych szeregów polskiej młodzieży literackiej.

Trzeci żagarysta, Teodor Bujnicki jest tradycjonalistą. Jego „Poomacku“ to solidny, bardzo, mimo pewne pozory rewolucyjności, zrównoważony i niewiele z właściwą awangardą mający wspólnego, tom dobrych, na kulturalnym poziomie utrzymanych wierszy. Kilka utworów gładkich i formalnie wytrzymanych, ale najzupełniej blahych. Inne, artystycznie i społecznie bardziej doniosłe, grzeszą jednak nadmiarem inteligenckiego bagażu. Tu i ówdzie rozgadana teudencja zamazuje poetyckie kontury; „Majakowski“ wyskakuje zupełnie niespodziewanym dysonansem, ale natrafiamy i na bardzo piękne wiersze o wyrazistej, nieco zbliżonej do Miłosza atmosferze i skondensowanym ładunku lirycznym. (Do cudzoziemca, Kopanie kartofli). Te ostatnie rzeczy legitymują Bujnickiego jako poetę i pozwalają optymistycznie oceniać jego przyszłość.

## II.

„W błyskawicy“. Nowy, już czwarty z kolei tom Czechowicza. Pierwsze wrażenie raczej ujemne. Po „Kamieniu“, który był rewelacyjną zapowiedzią wielkiego talentu i „Dniu jak codzień“, który tą zapowiedź realizował, poszedł Czechowicz w innym kierunku i zawiódł tych, którzy oczekiwali rozwinięcia wszystkich możliwości. Stąd rozczarowanie i zdziwienie, stąd posądzenie o kwietyzm. Ale o obniżeniu poziomu poetyckiego i o twórczej stagnacji na podstawie tego tomu wogóle mówić nie można. Linja poetycka Czechowicza jest nadal wymierzona ku górze i dalszemu rozwojowi, a tylko zakres jego twórczości uległ zwężeniu; to, co wielu wydaje się dreptaniem w miejscu, jest prosto rezygnacją z pewnych możliwości, przeważnie natury bezpośrednio-pozapoetyckiej, na rzecz zdobyczy wyłącznie estetycznych. W wyniku tego, zdaje się najzupełniej świadomego stanowiska zwężenie problematyki wynagrodzone zostało oczyszczeniem poetyckiego tonu, wysubtelnieniem środków artystycznych i poważnymi zdobyczami wersyfikacyjnymi. A więc przede wszystkim dalsza modyfikacja strofy, która jeszcze w „Balladzie z tamtej strony“ miała bardziej wyrazistą budowę, (podstawą do niej była kombinacja ababc). Czechowicz raz po raz ociera się o vers libre, ale całkowicie weń nie wpada: zachowanie dyscypliny stroficznej trzyma go na uwierzy.



Kilkakrotnie używa białego wiersza, ale nie sędzę, aby miała to być jego właściwa droga; rezygnacja z anonansu zuboży go raczej, niż wzbogaci. Duży krok naprzód zrobił Czechowicz w rytmice, o wiele dźwięczniejszej niż dawniej, obfitującej w ciekawe zestawienia i oryginalne poszukiwania. Należy z radością zanotować fakt, że czołowy przedstawiciel awangardy przeciwstawia rozwydrzeniu i anarchji wersyfikacyjnej wielu młodych i najmłodszych zdyscyplinowaną i ściśle kontrolowaną rytmikę, poszukującą nowych osiągnięć na drodze modyfikowania i uwspółcześniania dawnych stóp i rytmów. Pilnie przyjrawszy się, znajdziemy u Czechowicza i giętki dziewięcio-zgłoskowiec, tak ulubiony przez romantyczną poezję rosyjską od Kozłowa aż do Błoka, i tradycyjny aleksandryn mickiewiczowski, a nawet spotkamy się z powolnym rytmem heksametra, odmłodzonego i dziwnie dobrze czującego się w marjażu z nowoczesną metaforą. Doprowadzona do wysokiego kunsztu rytmika jest niezwykle czujna w stosunku do podskórnych toków wzruszeń, idealnie sprawna i posłuszenie odpowiadająca na każdy gest poetycki. Wizualność, oparta na pięknej i czystej w tonie metaforze, jest niemal blokowska; pokrewieństwo z genialnym Rosjaninem sięga tu zresztą jeszcze dalej. Cała metafizyczna podszewka poezji Czechowicza, jej arealność oparta na dokładnej filtracji rzeczywistości i destylacji wzruszeń zbliża go do autora „Nieznakomki“ i decyduje o poetyckim zawołaniu. Interesujące, że poeta, którego narodzinom patronował Apollinaire, jest w gruncie rzeczy najbardziej romantyczny z pośród młodych. Filjacje formistyczne, a później pokrewieństwa z integralizmem nie zepchnęły Czechowicza z właściwej drogi, ale bardziej uwspółcześniły jego rzemiosło. Przewaga Czechowicza nad „zwrotnicowcami“ czy „linjowcami“ polega właśnie na tem, że nie obciążony balastem futurystycznego inwentarza, wypracował własną, irracjonalną expresję liryczną i ustrzegł jej od pomieszania, lub, co gorsza jeszcze, identyfikacji z rzeczami drugorzędnymi, ściśle już tylko tecznicznymi. Jednakże owe natężenie czystego liryzmu, doprowadzone do maksimum, i oczyszczenie poetyckiego tonu zemściło się na Czechowiczu w inny sposób. Atmosfera, z której dokładnie wypompowano powietrze, jest krystalicznie czysta i mroźna, gwiazdzista i tęczowa, ale jej spokój jest tylko pozorny. Poprzez estetyzm autora przeziara, nie dość zamaskowany niepokój człowieka, którego słodycz barw i dźwięczna muzyka słów uskrzydla ją i unosi ją, lecz całkowicie nasycić nie mogą. W świetnie zestrojonej orkiestrze wrywa się jakiś dysonans, który przenika nawskroś i mroźnym oddechem dębi włosy na głowie. Ten odwieczny strach przed czarną otchłanią nieba, nieprzesłoniętego ziemską atmosferą, nie znajduje żadnego równoważnika życiowego u psychicznej konstrukcji tego rodzaju, co autor „W błyskawicy“. Zamknięcie się w świecie wzruszeń i uczuć najzupełniej osobistych, irracjonalnych odcięło Czechowicza od społecznych korzeni i pogłębiając zasadniczy ton poetycki, wpędziło go w ślepią uliczkę metafizycznego przerażenia. I dlatego te piękne wiersze są jak sny i widzenia człowieka opętanego przez poezję i obnoszącego ją po świecie, niby sztandar, niby jedyny sens swego istnienia, które bez niej zawałiłyby się nieuchronnie, nie znajdując żadnego oparcia w rzeczywistości. Wszystkie te względy decydują o aspołeczności i schyłkowości poezji Czecho-



wicza i o jej — na tle dzisiejszej konfiguracji w świecie idei — burżuazyjności. Jednakże schyłkowość i burżuazyjność — to nie są jedyne słowa, któremi możnaby było bezapelacyjnie załatwić się z Czechowiczem. Korzenie tej poezji wyrwane zostały z gleby, która jako podstawa obowiązuje każdą społecznie odpowiedzialną i w konsekwencji tego czynnie usposobioną jednostkę, ale jej szczyty kąpią się w atmosferze osobistej religii, której dyskwalifikowanie na nic nam się nie przyda, ponieważ jest ona nierozłącznie związana z samą twórczością poety. Stąd jej widoczna niepopularność i odosobnienie.

### III.

Antoni Madej wydał dwie nowe książki. „W grudzie ziemi“ i „Twarz“. Zbiorki niepozbawione wad, ale będące znacznym postępowaniem w stosunku do dotychczasowego dorobku. Przedewszystkiem znaczne wzbogacenie problematyki i rozszerzenie poetyckich horyzontów, w poprzednim tomie ograniczonych do niewielkich osobistych wzruszeń i skromnych przeżyć. Ale nie przyszło to poecie, przyzwyczajonemu do miniaturki z łatwością. Nastawienie rzemiosła poetyckiego na mały oddech zemściło się całkiem widocznie. Madej nie umie dać sobie rady z bogatą problematyką nowych wierszy i uderzając w strunę patosu, wpada raz po raz w gadulstwo. Rezygnacja niczem nieuzasadniona z dyscypliny asonantycznej pogłębia jeszcze bardziej to przyrodzone chyba i domagające się tyranji formalnej rozgadanie. Nadmiar słów psuje Madejowi niejedną wiersz. Cały poemat „Polegli w bojach“ został w ten sposób zaprzepaszczonej. Tam gdzie poeta zdobywa się na większe skupienie, gdzie oszczędnie operuje słowem i nie daje ponieść się grandelokwencji — powstają tak piękne wiersze, jak „Muzy“, czy „Joanna d' Arc“. A więc opanowanie żywiołu poetyckiego, wymykającego się z rąk, powinno być główną troską Madeja. Wtedy liczne piękności jego wierszy, celne metafory, bogate obrazowanie, — przestaną błąkać się samopas w niezestrojonych ze sobą i chaotycznych kompozycjach. Nowa treść, tyle różna od dawnego sielankopisarstwa, domaga się innej formy, bardziej męskiej i opanowanej. Poszczególne wiersze i strofy ostatniego tomu upewniają nas w przekonaniu, że jest to tylko kwestja czasu i dalszego rozwoju.

Tomik Zdzisława Popowskiego p.t. „Gwiazdy w popiele“ należałoby właściwie zerznąć. Nieporadny metaforyzm, rozmazana ekspresja, nadużywanie wielkich słów bez żadnego emocjonalnego pokrycia, mielizny rytmiczne, naiwność i symplicyzm wielu wierszy denerwują czytelnika. Jednakże świadomość, że debiutant jest młodym chłopcem, tegorocznym maturzystą, zmusza do uważniejszej kontroli swego osądu. Wtedy, mozolnie brnąć przez okropności wersyfikacyjne, natrafiamy na zwroty i zdania, świadczące, że pisał tę nieszczęsną książeczkę człowiek, który na drodze pracy i surowej autokrytyki ma szansę wyrośnięcia na dobrego poetę. Tem smutniej, że dał się uwieść pokusie druku i wydał zbędny tomik, którego będzie się zapewne wstydzić w okresie dojrzałości.

Podobne refleksje przychodzą przy lekturze wierszy Wacława Mrozwoskiego. Ale sąd musi być surowszy, ponieważ „Rzeczywiście“ to już drugi jego tom. Temperament duży, zato brak smaku i kontroli nie po-



zwala Mrozowskiemu napisać ani jednego dobrego wiersza. Łatwość pisania ponosi go, ale w parze z tem nie idzie kontrola artystyczna. Przelewa się przez te wiersze plątanina najrozmaitszych chwytów poetyckich, z których żaden narazie nie jest własnością ich autora. Możliwości rozwoju wyraźne, — wyniki dotychczasowe graniczą z grafomanją, często zdecydowanie w nią przechodząc.

Mrozowskiego i wielu innych usprawiedliwiają lata, natomiast Stanisław Młodożeniec nie ma nic na swoją obronę. Gruby tom p.t. „Futurogamy i pejzaże“ jest dokumentem zupełnego upadku poetyckiego. Dopiero teraz wylazło sztydło z worka i okazało się jaknajwidoczniej na jak kruchych podstawach opierał się polski futuryzm, skoro jego koryfeusze kończą w tak marny sposób. Karygodne marnotrawstwo słowa, onomatopelizm na najniższym poziomie, przedęta ludowość i świątnikarstwo jeszcze podłej marki niż u Zegadłowicza, — oto główne grzechy wołające o pomstę do recenzenta. Jakim cudem ta okropna książka znalazła poklask na łamach tej czy innej gazetki, to już pozostanie mało zaszczytną tajemnicą naszej krytyki.

Stefan Napierski wydał tom przekładów z Whitmana p. t. „75 poematów Whalta Whitmana“. Trudno zdawać sprawę z tłumaczenia, skoro się nie zna oryginału. Porównanie z przekładami rosyjskimi wypada na korzyść Napierskiego. Bardzo długa fraza angielska, w którą Whitman włacza swoje genialne wybuchy, brzmi w polszczyźnie naturalnie; nie widać tu śladów poetyckiego narzędzia, które czynią niestrawnymi prace przeciętnych tłumaczy. Czy miał rację Napierski, usuwając w przekładzie liczne wulgaryzmy Whitmana, trudno przesądzać wobec tego, że zapewne brzmiały one inaczej dla współczesnego czytelnika, a inaczej brzmiały dziś. Pewną wątpliwość budzi wybór wierszy, ale tłumacz zgóry osłonił się od wszelkich w tym kierunku zarzutów, już w tytule nadając książce charakter dowolnego wyboru a nie antologii. Zresztą historyzm nie może tu być regułą. Tak czy owak, książka Napierskiego jest cennym wkładem i wypełnia dotkliwą lukę w naszym piśmiennictwie.



## NOWE KSIĄŻKI

„Myśli o Nowej Polsce“, które ukazały się niedawno w drugim wydaniu, to najpełniejsza wypowiedź Adama Skwarczyńskiego. To, że Skwarczyński już nie żyje, zwalnia od obowiązku recenzowania samej książki i pozwala na uchwycenia sensu całego wysiłku jej autora. Skwarczyński był dla obozu legionowego postacią reprezentacyjną w najszlachetniejszym ideowym znaczeniu tego słowa. Predysponowany na ideologa, nie dał swemu obozowi sformułowanej doktryny, ponieważ z tej strony było to i jest w dzisiejszej konfiguracji niemożliwe. Stąd też myśl polityczna Skwarczyńskiego zawisała niejednokrotnie w próżni, najlepiej czując się tam, gdzie znajdowała ogniwa, łączące ją z dziedzictwem ideowym polskiego romantyzmu. Była w tem jej siła i jej anachroniczna niedzisiejszość, mimo wszelkie antycypacje przyszłości. Bo, chociaż Skwarczyński troskał się o zagadnienie świata pracy, ideowa jego postawa była najzupełniej obca i w konsekwencjach swoich wroga proletarjackiemu mitowi. Mobilizacja moralna społeczeństwa, do której Skwarczyński nawoływał, miała być odrodzeniem właśnie mieszczaństwa, właśnie tych klas, które — zdziwione niespodziewaną niepodległością — potraktowały ją tak, jak traktowała swe przywileje klasowe stara szlachta polska. Skwarczyński należał do ludzi, którzy pragną stary świat ratować od wewnątrz przez odbudowę moralności. Są to więc wrogowie groźniejsi, ale walka z nimi przynosi zaszczyt. Bo i to trzeba wyznać, że niema większej tęsknoty bojownika, jak myśl o walce tem szlachetniejszej i bardziej rycerskiej, czem większa stawka i straszniejsza bezpardonowość walczących. A jak pisał Hercen do Micheleta „przebaczenie wrogom — to przepiękny i bohaterski czyn; ale istnieje bohaterstwo jeszcze piękniejsze, jeszcze bardziej ludzkie; jest to — zrozumienie wrogów, ponieważ zrozumienie to jednocześnie przebaczenie, usprawiedliwienie, pojednanie“.

---

Niewesołe refleksje budzą „Opowiadania dwuznaczne“ Michała Choromańskiego. Najzupełniejsza blahość i prestidigitatorstwo tej słabej książki nie jest zresztą niespodzianką. Nowatorstwo formalne, któremu nie towarzyszy pogłębianie treści, zawsze doprowadza do takich wyników; od zlekceważenia problematyki do manieri już tylko jeden krok. Wydobywanie fantastyki codzienności, ukazywanie elementów deformujących znajduje w Choromańskim pisarza o pewnej ale już nadużywającej i zautomatyzowanej ręce. Chorobliwa tęsknota do egzotyizmu każe pisarzowi doszukiwać się w każdym zjawisku i postaci niezwykłości i grozy. Anatomja



tych, rozpiętych szpileczkami preparatów jest niekiedy po mistrzowsku przeprowadzona, ale nadmierna eksploatacja wciąż tych samych chwytów nuży i denerwuje. W rezultacie mamy serię karykatur, które nieprzekonywują o potrzebie powstania. Wyrafinowanie artystyczne Choromańskiego jest osłoną maskującą ubogość treści, która często zamienia się w anegdotę. Ratuje się wtedy Choromański ironją, szyderstwem, natrętnym psychologizmem, deformacją przechodzącą w parodię, wreszcie drastycznością pomysłów — wszystko dla podkreślenia formalnego mistrzostwa i bravury w przeskakiwaniu nad spiętrzonymi trudnościami. Znika wewnętrzna logika artystyczna — zostaje pozerskie polowanie na efekty i efekciki, nastawianie się na niewybredną sensacyjność.

„Opowiadania dwuznaczne“ to ślepa uliczka, do której nieopatrznie dostał się świetny pisarz. Rewizja własnych założeń i natychmiastowy odwrót mogą go jeszcze uratować od spływającej maniery i bezdusznej abstrakcyjności.

---

„Kartele i trusty“ Romana Piotrowskiego to pierwsza próba historycznego ujęcia ruchu kartelowego. Nie podobna podawać w wątpliwość wielkiego wysiłku jaki włożył autor w książkę. Jednak stanowisko autora wobec zagadnienia jest trochę niespodziewane. Dziś już nawet znaczna część burżuazyjnej literatury ekonomicznej nie podziela zdania prudenistów, którzy sądzili, że kartele są naturalnym następstwem wolnej konkurencji. Piotrowski nie wychodzi poza Proudihona, którego opinie w tej kwestji zostały dawno zlikwidowane przez Marksa. Wogóle marksistowskie stanowisko nie zostało w tej książce należycie uwzględnione, co przesądza o jej jednostronności i tendencyjności. Żle się dzieje w świecie kapitalistycznym, skoro jego teoretycy i ekonomiści cofają się do socjalizmu utopijnego i mętnych, dawno przez naukę marksistowską skompromitowanych, koncepcyj gospodarczych.

---

Już pierwszą swoją książką Gustawa Jarecka weszła śmiało i pewnie do polskiej literatury powieściowej. „Stare grzechy“ utrwalają zdobyte dawniej stanowisko i są znacznym awansem. Wcale niekobieca, jędrna i precyzyjna proza, gdzieniegdzie może nazbyt zlakonizowana, ujęta jest w przemyślane i dobrze zmontowane ramy kompozycyjne. Konstrukcja miejscami zarysowana, ale naogół solidna i wytrzymała napór wezbranej narracji. A niebezpieczeństwo groziło nie tylko z tej strony. Powieść ma wewnątrz socjologiczne, nabrzmiewa tysiącami zagadnień i prowokuje autorkę do natychmiastowego, po dziennikarsku bezpośredniego rozstrzygnięcia. Jarecka dała przekrój dwu klas społecznych, stykających się ze sobą nieustannie, ale dalekich od jakiegokolwiek solidaryzmu, i na tem tle, socjologicznie nie zawsze dobrze uchwyconem, starała się przedstawić losy jednostki, usiłującej zmienić swój przydział społeczny. Ale dialektyka tego procesu, widocznie niezupełnie przez powieściopisarkę uświadomiona, zawodzi. Janka Brandt krytycznie ustosunkowała się do świata, z którego wyszła, ale mimo to tkwi w nim wszystkimi korzeniami. Miłość do elektrotechnika Jeziorowskiego zabrała ją z luksusowej willi ojca fabrykanta, ale nie zmieniła ani jej pochodzenia, ani psychiki.



Janka została kochanką proletariusza, ale nie proletariuszką; pożegnalne słowa do ojca, zapowiadające powrót mają swój głęboki sens, demaskują socjologiczną podszewką tego pozornego przełomu, o wyraźnie subiektywnym egotycznym charakterze. Zrównanie gatunkowe, prawie identyfikacja konfliktu osobistego ze społecznym dopomogło Jareckiej wydobyć kilka ciepłych uczuciowych akcentów, ułatwiło jej wybrnięcie z sytuacji. Jednak dialektycznie powieść przez to straciła. Z punktu widzenia etyki osobistej (indywidualistycznie pojętej!) bohaterka jest w porządku. Niestety, nie jest w porządku wobec tej klasy, z którą sympatyzuje, ale z którą stopić się nie potrafi, ponieważ wybrała złą drogę. Wysuwanie programowej ekspiacji za „stare grzechy“ ojców prowadzi do hysterji i cierpiętnictwa. I dlatego nie możemy uznać tej racji społecznej, w którą Jarecka wyposaża Jankę Brandtównę.

Nie bądźmy zresztą zbyt surowi. Bądźcobądź autorka podjęła odważnie problemat ciężki, na którym nietrudno o potknięcie, i starała się rozstrzygnąć go w sposób najwłaściwszy. Czekajmy więc, na realizację uczciwych intencji, którą powinien jej ułatwić realizm ostrego spojrzenia, dobrze wychwytyjącego antynomje socjalne współczesności.

---

Wielkiem oskarżeniem kultury mieszczańskiej i próbą przeciwstawienia się jej w sposób pozytywny miała być powieść Kazimierzy Alberti p.t. „Ci, którzy przyjdą“. Artystycznie książka b. słaba. Gadatliwość, kronikarska rozwlekłość, zupełny brak konstrukcji, wogóle widoczny brak jakiegokolwiek deformacji artystycznej. Typowe chwytły dziennikarskie. Z ideologją jeszcze gorzej. Bohaterka, którą Alberti wysuwa, jako apostoła nowej kultury, jest w gruncie rzeczy wyemancypowaną i nieco inteligentniejszą od otoczenia pannicą. Zerwanie z makabrą „strasznych mieszczan“ to jeszcze nie jest nowa kultura „tych, którzy przyjdą“. Centralna scena powieści, owa „najpiękniejsza lekcja“, polegająca na tem, że bohaterka wtajemnicza swego ucznia praktycznie w arkana seksualne, podana została bardzo smakowicie i pikantnie. Cała książka i jej „ideologja“ powstały wyraźnie na przedłużeniu dodatku „Życie świadome“. Gdyby nie widoczna różnica poziomu, możnaby przysiąc, że Alberti — to pseudonim Ireny Krzywickiej.

---

„Opierzona rewolucja“ Melchjora Wańkowieza. Jeszcze jedna książka o Związku Radzieckim. Po nienawistnej, okropną polszczyzną pisanej bredni Mackiewicza i mętnych, typowo inteligenckich impresjach Słonimskiego — lektura raczej przyjemna. Wańkowiez jest zdecydowanym wrogiem komunizmu, czego też nie usiłuje ukrywać, jednak szczypta obiektywizmu pozwala mu na pewną rewerencję nietyle w stosunku do realnych osiągnięć bolszewizmu, bo tu autor jest bardzo powściągliwy i krytyczny, co w stosunku do rewolucyjnej dynamiki proletariatu rosyjskiego. Wańkowiez nie widzi tysiąca rzeczy, a z pośród widzianych tysiąca nie rozumie; spostrzegł zato i ocenił to, co najważniejsze: idealizm, wielkie napięcie woli i wysiłek moralny młodych pokoleń radzieckich. „Opierzona rewolucja“ notujemy z satysfakcją, jako książkę uczciwego wroga.



## POLEMIKI I WYPADY

### 1. O PRZEKŁADACH, PEDANTACH I AWANGARDZIE

Ostatnie lata przyniosły znaczne ożywienie na polu pracy przekładowej. Mam na myśli oczywiście poezję, bo proza zawsze miała u nas względne szczęście do licznych, ale najczęściej słabych tłumaczy. Na pierwszym miejscu stoi poezja rosyjska, co zostało spowodowane nie tylko wzmożeniem zainteresowaniem się Rosją. Główna przyczyna tkwi zapewne w tem, że liryka rosyjska ostatniego 25-lecia osiągnęła poziom najwyższy, na jaki stać poezję światową. Tuwim, Husarski, Wierzyński, Okołów-Podhorski, Słonimski, Denhof-Czarnocki, Liebert, Broniewski, Stande, Słobodnik, Dobrowolski, Jaworski, Czechowicz, Łobodowski, Morski, Jastrzębiec-Kozłowski, Bogusławski, Hollender, Bujnicki, Łopalewski — oto nazwiska tych, którzy dorywczo czy systematycznie, z mniejszym lub większym powodzeniem próbowali swoich sił w trudnej pracy przekładowej. Nadmierna surowość jednych krytyków przy skłonności do entuzjazmu innych wskazywałyby na to, że należy ująć bliżej wymagania, jakie stawia się tłumaczowi. Poeta rosyjski Chodasiewicz, omawiając tuwimowe spotkanie „Jeźdźca Miedzianego“, zapatruje się sceptycznie na możliwość istnienia dobrych tłumaczeń. Żąda on zachowania identycznych miar rytmicznych, stawiając Tuwimowi zarzut, że nie dopilnował Puszkiniowskich jambów. Sądzę, że jest to żądanie drakońskie. Przekład jest przeznaczony dla czytelników polskich, którzy nie odczuwają konieczności surowego przestrzegania rymów męskich i żeńskich, jak w poezji rosyjskiej. Wogóle rymy męskie należy zachowywać tylko tam, gdzie nie wychodzi to na złe poezji; w innych wypadkach można śmiało zastąpić rymem żeńskim. Rosjanie, przekładający wiersze polskie, są z kolei uprawnieni do stosowania jambów tam, gdzie oryginał ich nie zna. Każdy język ma właściwości bez odpowiedników. Co nprz. odpowie w polszczyźnie pięciosylabowej stopie? Jak przetłumaczyć, zachowując wiernie właściwości rytmiczne, wiersz Błoka:

Ruś maja, mat' maja, wmiestiel nam majat'-sa, —  
car' da Sibir' da Jermak da tiurma...

Stawiając tak wygórowane żądania, Chodasiewicz podaje nieprzekonywujące przykłady tłumaczeń, które według niego zasługują na nazwę cudów. Przekład pierwszej części puszkiniowskiego „Wspomnienia“ nie tylko nie jest cudem, — jest zupełnie zły. Pomijam już kwestję niewytrzymania rytmu, chociaż właśnie tu było to możliwe. Ale Mickiewicz nie zrozumiał kilku zwrotów i zaprzepaścił szereg pięknych obrazów. „Gorko żałujus“ — przekłada Mickiewicz jako „żałuję“, „dlinnyj razwiawiet switok“ zmieniło się w „swe zwoje roztacza“, „pieczalnyja stroki“ w „smutne rysy“ i t. d. Tak więc surowym żądaniom Chodasiewicza nie



odpowiadają podane przezeń przykłady dobrych tłumaczeń. A co ma powiedzieć czytelnik, dowiadując się z Żagarów, że przekłady Jaworskiego są słabe, tego samego Jaworskiego, którego Zawodziński nazywa świętym tłumaczem. Uwagi Zawodzińskiego („Droga“ z lutego b. r.) są naogół bardzo słuszne, choć i tu wiele twierdzeń budzi wątpliwości. Zawodziński dyskwalifikuje mój przekład z Błoka, istotnie słaby, ale wpada w przesadę, gdy nazywa go bezsensownym. Pisze on: „roją się łataniny dla wiersza bez sensu i smaku: „lecz harde słowo nie oślini“, przeszłości pożałuję nie ja“, „niech cię kto inny wielbi w śpiewie“ i t. p. Otóż wiersze te są nie dosłowne, ale w ramach możliwości dokładnem spolszczeniem oryginału. „Tawo czto było nie żaleja“ — tego co było nie żałując czyli przeszłości nie żałuję, — jedynie składnia szwankuje, ale sens dokładnie ten sam. Tak samo inne wiersze. Zawiniła tu chyba pedanterja Zawodzińskiego, która często bródzi w jego artykułach. Z przekąsem mówiąc o „poinformowaniu“ poetów w dziedzinie ich pracy, sam wpada w błąd, zresztą dość rozpowszechniony, twierdząc, że „należy trzymać się ortografji „Fet“, jako najprostszej transliteracji i najbardziej odpowiadającej wymowie kulturalnych Rosjan, którzy, rozumiejąc cudzoziemskie brzmienie nazwiska (Foeth) nie wymawiają tu „e“ zupełnie po rosyjsku.“ Otóż Rosjanie wymawiają Fiet, taksamo jak Giegiel, Giete, Bierg, Giercen, Kichielbiekier, Mandielsztam i t.d. Osobiście w szkole słyszałem zawsze o Fiecie i tak wymawiają wszyscy Rosjanie. Wyjątek nie zrobi w tej regule wyłomu.

Wogóle Zawodziński, uważając siebie za specja od spraw rosyjskich a nie przewietrzając własnych wiadomości, wpada w błędy nawet wtedy, gdy usiłuje korygować innych. Mam na myśli artykuł w „Pionie“ o niedokładnościach, popełnionych przez Wysockiego w „Kwiatach na stepie“. Na część zarzutów odpowiedział sam zaatakowany, o innych przemilczał, nie czując się widocznie dość kompetentnym. Pisze Zawodziński, że „należało do wyjątków, żeby w kozackich pułkach służyli arystokraci niekozacy“. Oto kilka nazwisk wyższych oficerów kozackich według stanu z przed samej wojny: pułk. hr. Ignatjew, gen. lejtn. Fleischer, pułk. Gotschalk, gen. książę Orbeljani, pułk. hrabia Keller, pułk. Esering, pułk. Raddatz i t. d. Również myli się Zawodziński, sądząc, że w operacjach wojennych na Kaukazie działali przeważnie kozacy terycy i kubańscy. Ci ostatni brali udział w starciach miejscowych, pogranicznych, natomiast eskortę t. zw. okazji oraz załogi forteczek tworzyli niemal z reguły Dońcy. Karne ekspedycje w góry przeciw zrewoltowanym aulom także składały się poza piechotą i artylerją z kozaków dońskich. Wątpi wreszcie Zawodziński w to, aby w pierwszej połowie XIX wieku miały miejsce jakieś poważniejsze walki w Turkiestanie. Zapewne, do zdobycia Taszkientu i zniszczenia Gieok Tepe było jeszcze daleko. Ale już za panowania Mikołaja trwał ciągle na pograniczu stan wojenny, a w działaniach brały udział nie tylko siły miejscowe. W trzydziestych latach zakończono podbój przeszło milionowej hordy Kirgiz-Kajsaków, a w roku 1839 wojenny gubernator Orenburga, Pierowski wyprawia się na czele dość znacznych sił przeciw Chiwincom, zresztą bez rezultatu. Odtąd przez kilkadziesiąt lat trwają napady wojowniczych Uzbeków, a jednocześnie Rosjanie prze-



nikają coraz dalej w głąb Turkiestanu. W wyprawie 1850 roku bierze udział kilka tysięcy szabel i bagnatów. Podstawą militarną tych działań były garnizony orenburskie i kozacy uralscy. Ale w poszczególnych wypadkach brały udział także i oddziały zamiejscowe, a między innymi soty nie dońskie. Wytykam Zawodzińskiemu drobne pomyłki nieco pedantycznie, ale sądzę, że kawalerzysta z zawodu nie weźmie tego za złe kawalerzyście z pochodzenia i tradycji.

Służba wojskowa nie przeszkodziła Zawodzińskiemu rozczytywać się w poezji rosyjskiej i oceniać ją według wartości. Jednak słuszne uwielbienie, którym Zawodziński otacza Błoka i jego satelitów, zemściło się lekceważeniem innych osiągnięć artystycznych. O Pasternaku pisze Zawodziński, że „nieda się porównać z Achmatową. Tyle, że trudny, ale to nie dowód“. Techniczne chwytły romantyzmu i symbolizmu tak zasugerowały krytyka, że nie czuje wspaniałej poezji Borisa Pasternaka. Niechże Zawodziński porozmawia na ten temat z Tuwimem, który tak pięknie spolszczył kilka wierszy rosyjskiego poety. Pasternak i Achmatowa! Patoś wielkiej poezji i buduarowe szeptki, mistrzostwo zawikłanej a przecież nierzadko do surowej prostoty dochodzącej formy i śpiewankowanie pokojowego kanarka! Cóż za zestawienie! Zapewne nie mało wzruszeń znajdzie czytelnik przy lekturze pięknych wierszy Anny Andriejewny, ale, jak słusznie zaznacza Erienburg, „napisane one zostały na ostatniej stronie zamykającej się książki“. A Pasternak? — chętnie oddam wszystkie rozczarowania i melancholje petersburskiej poetessy za jedno: „nie rydał, nie spletał agalonných, ischlostanych, w szramach...“ A przecież to jeden z wcześniejszych wierszy Pasternaka! Czy naprawdę Zawodziński nie usłyszał w jego twórczości potężnych skrzydeł Demona poezji?

Ten lekceważący stosunek Zawodzińskiego do Pasternaka wskazuje niedwuznacznie na przyczyny pogardy, jaką żywi większość oficjalnej krytyki do młodej poezji polskiej. Poprostu jej nie odczuwa i nie rozumie. A priori powzięte uprzedzenie nie pozwala zdobyć się nawet na odrobinę dobrej woli. Trudno wprawdzie od człowieka, dla którego poezja zaczyna się na Błoku a kończy na Achmatowej, wymagać entuzjazmu dla twórczości Czuchnowskiego, ale nie wolno odpowiedzialnemu krytykowi zbywać autora tytułu świetnych książek jednym pogardliwym zwrotem. Nie należy też wrywać się ze zdaniem o poetach, których się nie zna (mówię bom smutny i sam pełen żalu). A jak Zawodziński potraktował w „Roczniku Literackim“ poezję żagarystów. Przecież każdy nieuprzedzony łatwo dostrzeżnie drogę postępującą wzwyż, jaką przebyli poeci wileńscy od czasu pochwalnej cenzurki, wystawionej właśnie przez Zawodzińskiego. Dziś, gdy żagaryści już zdali maturę poetycką, Zawodziński cofa swoją opinię i żałuje jej jako „przedwczesnej“. Może to zerwanie z Mackiewiczem, już zresztą przebrzmiałe, i ataki na skamandrytów w „Pionach“ zadecydowały o rewizji poglądów?

Niepoważnie brzmią rady, które daje Zawodziński Czechowiczowi. Mogę zapewnić cenionego krytyka, że Czechowicz zna Błoka od dawna, co więcej, że u narodzin jego „dziwacznej“ poezji stał autor „Snieżnojdiewy“ i „Piesien Fainy“. Widocznie fakt, że Czechowicz nie używa tra-



dycyjnej zwrotki, przesłania Zawodzińskiemu niepospolite wartości wypracowane przez lubelskiego poetę samodzielnie, ale nie bez Wysokiego Patronatu Aleksandra Drugiego poezji rosyjskiej.

Ale jakże tu polemizować z Zawodzińskim, skoro „Kryształ młodości“ Kolonieckiego, książkę będącą przykładem poetyckiego mimetyzmu, uważa za reprezentacyjną dla młodej poezji! Nawet plusy tej słabej publikacji nie mogą niczego reprezentować, — dowodem niech będzie późniejsze „Solo fletowe“, które tamte możliwości rozwija w sposób daleki zarówno od awangardy jak i przeciętnego epigonizmu.

Takie i bardziej doniosłe uwagi nasuwają się przy denerwującej lekturze niektórych krytyków przedrewolucyjnego pokolenia. J. Ł.

## 2. JADOWITA PURCHAWKA

Kiedys był Farysem. Może nie romantycznym, bo powietrze tamtejsze niezbyt temu sprzyjało, ale skrzydełka miał i na tle mieszczołowego Krakowa łopotał niemi całkiem przyjemnie i wdzięcznie. Inteligent bez przydziału. Z tatą, urzędnikiem c. k. galicyjskim zerwał i dość odważnie na cześć anarchistów wiwatował. Nie z przekonania, ale tak na złość i dla sensacji burżujskiej. Nosa miał młodzieńczyk niezgorszego i nie mógł znieść fetoru mieszczańskich betów. A że ząbki wyrosły śwędzące, więc ineksprymable bliźnich cierpiały na tem dotkliwie... Używał sobie szczeniaczek. Pluł jadowicie, wierzgał, ostre szpilki tłustym zadom burżujskim aplikował skutecznie i pracowicie. Arystofanes polski. Pogromca kołtunerji. Nienawistnik świątyn rodzinnych. Antyklerykał. Zdawało się, podrośnie, zacznie walczyć nie tylko z czemś, ale i w imię czegoś czy kogoś. Że niby samą zółcią niczego nie zlepi. Więc byli nawiśniacy z nienaszego pokolenia, co sądzili, że się Neuwert bojownikiem jakiegoś sztandaru ogłosi i już nie sam, ale w szeregu do pracy przyłoży. Jakoż i nie zawiedli się starszankowie. Przemienił się szczeniaczek w brytana. Wilkiem był, a na łańcuch poszedł. Na ochłap do endeków. Wytresowali go szybko. Na kogo pluł, tego lizać zaczął. Gdzie wpierw, nóżkę zgrabnie uniósłszy, świętości znieważał, tam dziś molebny wielogodzinne odprawia. Co pod łóżkiem trzymał, to na piedestale ustawił. Wypełzła mu szerść, ale animuszu nie stracił. Warczy i pluje. Domoowników zna i wie, kogo w spokoju zostawić. Choćby od którego smrodem mieszczańskim na sto mil niosło, nie ruszy i jeszcze łapę podaje. Oblaskawiła się psina. Ale węch ma jeszcze lepszy niż za szczeniackich czasów. W tropieniu żydów i masonów osobliwie ćwiczony. Co żółtą łatę zobaczy, to aż chrypnie z wściekłości i alteracji patriotycznej. Tylko paru nie rusza. Tych, co za pachciarzy przy endecji służą. Ci forse mają i wpływy też, a wiadomo, że bez hopów ani kości, ani budy Neuwert nie dostanie. Żeby zaś to ujadanie pięknie wyglądało, przywołuje Nowaczynsio wielkich zmarłych na patronów. Bez Boga, ani do proga. Więc Wyspiańskiego wypomni, nad Reymontem się rozczuli, ale najbardziej Żeremjasza oblubował i coraz własne weksle do żyra nieboszczykowi podsuwa. O! i trafił swój na swego. Nowaczyński i Żeromski, ten sam Żeromski, który endecję piętnował, jako „syfilis zdrady i podłości“ Cóż więc jednego z tych syfilityków może łączyć z autorem „Przedwiośnia“?



Ano, uważacie, serce czujące i do uzalania się nad nędzą ludzką skłonne. Humanitarnek z Nowaczyńskiego wielki. Za nieletnich więźniów politycznych się wstawiał. Że niby w kazamatach źle i za mamusią tęskno. Więc radził żeby im tylko guaty lekko połamać i na wolność puścić, bo przecież „post i chłosta mają jedyny sens w stosunku do tych dzieci“.

A gdy się hitlerowskie szturmówki popisywać zaczęły, uderzył polski Adolf w bębny wielkiej radości. Wszczęły za jego przykładem laram pomniejsze cymbały narodowe. „U nas, paniedzieju, barbarzyństwo, Ryskalezyki i Kostki hulają, żydy rządzą, — a tam kultural!“ Sam Führer łagodny człowiek, na śniadanie szklanek mleka wypija i wogóle mięsa do ust nie bierze. Jarosz! — nie to, co bolszewiki, we krwi burżujskich niemowląt po kostki brodzące, a choćby i nasze legionery. Wiadomo z rewolucji to wyszło, ekspropriowało carskie ruble po różnych Bezdanych, psując samopoczucie kamerdynerom z pod znaku Romana I-szego. A przy okazji lubi nasz Arystofanes „avanti popolo“ zakrzyknąć, powołać się na lud, na masę, proletarjat. Tylko, że ten proletarjat, znoszący cierpliwie od lat harce uzurpatorów wszelkiego autoramentu, nie będzie honorować tych czeków bez pokrycia. Natomiast dobrze sobie w karneciku balowym nazwisko sadystycznego pamflecisty zanotuje.

Jako tego, co, mając wzrok przenikliwy i łeb na karku niezgorszy, choć rudy, wie dobrze, co za robotę prowadzi i na czyj młyn idzie jego ofenzywa. Jako tego, co, podkreślając przy każdej okazji rzekomą szlachetność w stosunku do wydziedziczonych, talent swój satyryczny do jaśnie pańskiej bryczki zaprzął. Jako tego, co dobrze widząc przyczyny zła, nędzy i poniewierki ludzkiej, obrzezkiem izraelskim usiłuje je zastąpić.

Własna przeszłość, której się w podłej służbie zaparł, nie daje mu spać spokojnie. Więc się w paroksymach wściekłości dławi i jadowi, własną ślinę krztusi i zadreżca. Albo zasługi, najczęściej zełgane, prawie zawsze wątlive, z lamusa wydobywa, — i do gablotki. On to pierwszy Gdynię odkrył i konspiracyjnie, z życia narażeniem nawracał Kaszubów na polskość. W więzieniu pruskim Golgotę przechodził dla Ojczyzny. Narodowi z Żeremjaszem orędownął. A na Piłsudskim też się poznał pierwszy, on jeden wbrew jazgotowi otoczenia. Wypominali już mu to lokajstwo co uczciwsi endecy. Udał się molajec, nno! A gdyby tak w swoim czasie znane uderzenia armji polskiej z nad Wieprza nie powiodło się, tobyśmy mieli rewelację i o tem, jak w Zakopanem emigrantowi nazwiskiem Uljanow piwo stawiał i przyjacielstwo przyświadczał.

A ileż między wierszami dyskretnych aluzyj do własnego bohaterkiego męczeństwa. Te uporczywe próby przeprowadzania analogji z Walterem, to filuterne łypanie wprawionem szkiełkiem. Łatwo teraz o bohaterów. W mordę dostał raz i drugi, więc go zaraz na gieroja pasują. Użalajcie się ludzie nad ofiarą niezłomnych zasad! Współczujecie męczennikowi idei! — Eh, towarzysze, stanowczo wolę Słonimskiego. Bezdomny domokrażca to on jest i na punkcie Hitlera zwarjował tak, jak tamten na punkcie żydów, ale oka nikt mu nie wybił i przeto nikogo swoją martyrologją kokietować nie może. A martyrologją Neuwertą taka, że i niejeden oprych, któremu w bójce żebro nawaliło, mógłby męczennika



strugać. Bo, mimo zdarzających się świetnych kart, jest pisanina Nowaczyńskiego zorganizowaną ofensywą kłamstwa, jest właśnie bandytyzmem publicystycznym, nie na poziomie szpady, ale szpadryny.

Jadowita purchawka polskiej literatury. Powąchać — cuchnie, kopnąć — powala. A że talent? — No, więc co? Talent talentem. Jak mawia mój przyjaciel — rosjanin: „na szczoł tałanta ja nie sam-niewajus’, a wsio taki swołocz!”

J. Ł.

## NOTY I SPRAWOZDANIA

WE WRZEŚNIU B. R. ODBYŁ SIĘ W MOSKWIE zjazd pisarzy proletarjackich. Poprzedzony kilkumiesięczną pracą przygotowawczą odrazu skupił na sobie uwagę wielomiljonowej i różnojęzycznej ludności Z.S.R.R. Zagaił Zjazd Gorkij, poczem w imieniu Partji przemawiał sekretarz C. K. P. K., Żdanow, konkretyzując żądania, jakie stawia literaturze radzieckiej najwyższa instancja partyjna. Przejściem do dyskusji był referat Gorkija o wzajemnych stosunkach, łączących twórczość artystyczną z produkcją gospodarczą danej klasy i narodu. Po referacie weterana rosyjskiej literatury rewolucyjnej rozpalila się dyskusja, w której brali udział także i przedstawiciele Zachodu, jak Bloch, Andre Malroux, Plivier, Bela Illes, Wollf. Erienburg i Leonow atakowali passeistyczne tendencje wielu pisarzy, surowej krytyce poddał literaturę radziecką Izaak Babel, socjologicznemu naświetleniu literatury zachodnioeuropejskiej poświęcony był referat Radka. Dużo ataków i ożywioną dyskusję wywołało przemówienie Bucharina, który dał krótki przegląd porewolucyjnej poezji, występując przeciw łatwiznie pseudo-poetyckich agitek w stylu Diemjana Biednawo. Uchwały zjazdu poszły głównie po linii uwzględniania gospodarczych postulatów pisarzy, wykazując daleko idące zrozumienie ich potrzeb życiowych i kulturalnych. Zjazd był wielką manifestacją solidarności ideologicznej rosyjskich pisarzy proletarjackich.

Z INICJATYWY „SYGNAŁÓW“, lwowskiego miesięcznika literackiego, miał odbyć się w listopadzie r.b. wielki zjazd pisarzy młodego pokolenia. Jaki cel? — Ano, cel bardzo słuszny. „Trzeba stworzyć wspólny front młodych... trzeba odzyskać utracone przez starszych pisarzy polskich przewodnictwo duchowe... i t.d.“ Pięknie. Utworzono więc komitet. Puszczone w ruch aparat reklamowy. Knajpiarze lwowscy zacierali rączki. I nagle klapa. Nieporozumienia osobiste wśród „sygnalistów“ i rezygnacja ze zjazdu. Ambicje paru młodzieńców, którzy popsztykali się między sobą, są ważniejsze od „odzyskania przewodnictwa duchowego“. A może wszystko to było prywatną imprezą Tadeusza Hollendera i zawaliło się z chwilą jego ustąpienia?

WBREW OPINJOM PESYMIŚCÓW CHEŁMSKA „KAMENA“ — przetrwała pierwszy rok istnienia i rozpoczęło drugi. Pismo interesujące i denerwujące jednocześnie. Nadmiar poezji i to niezawsze wartościowej. Poeci utalentowani w kompanji grafomanów. Paseiści w objęciach awangardy. To duży błąd taki brak generalnej linji. Czytelnik traci orjentację do reszty. Niezrozumiała jest upór, z jakim Jaworski przeciąża nu-



mery pisma nadmierną ilością kiepskich przekładów (Helsztyński, Rubach!) Uwzględnianie obcej poezji ma sens tylko wtedy, jeśli ta ostatnia na to zasługuje. Absorbowanie czytelnika polskiego przekładami wierszy, których powstydziliby się u nas najgorszy epigon, z pewnością niema sensu. Idąc po tej linii, łatwo może Kamena stać się pismem martwym, magazynem różnorodnych i różnojęzycznych rupieci. Oczywiście, nie dotyczy to kolumny rosyjskiej czy francuskiej, gdzie zdarzało się czytać tęgie wiersze w dobrych spolszczeniach, choć i tu nie obeszło się bez grzechu. Są jednak i plusy, które decydują o pożyteczności miesięcznika. Podnosimy ten fakt, że właśnie w Kamenie miała miejsce ciekawa (jeszcze nie skończona) dyskusja na odwieczny temat „treść czy forma w poezji“. Zwłaszcza głos Stanisława Czernika zabrzmiał bardzo interesująco.

W dziesiątym numerze Kameny redakcja oświadczyła, że „staje zdecydowanie po lewej stronie barykady“. Narazie jest to, mimo hołdów składanych bohaterstwu proletarjackiego Wiednia, tylko literackim frazesem, ponieważ ogólna bezprogramowa linja pisma do tego rodzaju manifestów nie upoważnia. Nie żądamy od Jaworskiego całkowitego zdynamizowania Kameny, bo wiemy, że z różnych względów jest to niemożliwe. Natomiast możliwe jest otrząśnięcie się z nadmiernego impresjonizmu i większe sprecyzowanie napięć kierunkowych. Wtedy, mimo całego szeregu zastrzeżeń, uznamy chętnie Kamene za pismo wprawdzie poputezykowskie, ale w ogólnym planie kulturalnym pożyteczne i potrzebne.

WIADOMOŚCI LITERACKIE POŚWIĘCAJĄ DUŻO MIEJSCA sprawom związanym z rozwojem kultury proletarjackiej. Najpierw poszedł wielki numer sowiecki, potem artykuł Radka a ostatnio obszernie sprawozdanie ze Zjazdu w Moskwie i uwagi Wittlina o nowej powieści rosyjskiej. To też Słonimski ma używanie. Kamienski na pierwszej stronie swoje, a ten na ostatniej swoje. Poprostu teza i antyteza. Tylko syntezy nie widać. Ale „Wiadomości“ mają już doświadczenie w odwalaniu takich kawałków. Kiedyś Napierski napisał o Czuchnowskim, że jest najbardziej fascynującym talentem z pośród młodzieży literackiej. Sąd zdecydowany, nie sąd, a poprostu tendencja. Więc dla równowagi w kilka tygodni potem w kronice tygodniowej czytamy, że tenże sam Marjan Czuchnowski — to grafoman. Tak się stwarza niezależną opinię literacką i społeczną.

SŁONIMSKI WOGÓLE WYSPECJALIZOWAŁ SIĘ w dyskwalifikowaniu ludzi, do których niedorósł. Aj Moška, znat' ana silna, czto lajet na słana! Czuchnowski — to grafoman, Irzykowski — dureń, jeden z najświetniejszych poetów powojennych Adam Ważyk — to „jakiś Ważyk“ i t. d. Niestety, młodzi zbyt często uważają, że stosowanie takiej samej metody to najlepszy sposób reakcji. Celowe przemilczanie ze strony oficjalnej literatury i drażliwość na tym punkcie zrodzona doprowadziły do wzajemnego wymyślenia od grafomanów. W takich momentach Przyboś widzi w Tuwimie tylko kataryniarza, a Czuchnowski określa poezję Broniewskiego, jako szmirę. Z tem większem zadowoleniem należy podkreślić b. nieśmiałe jeszcze wystąpienie Brzękowskiego, który w ostatnim numerze „Kameny“ proponuje oddać „co cesarskiego Cesarowi“ i uznać jednak Tuwima i Wierzyńskiego. Otóż to! — chyba czas na rewizję wzajemnych



uprzedzeń i animozji. Wtedy okaże się, że „Skamander“ to nie tylko katarzyniarstwo, a awangarda -- nietylko dziwactwo.

W NAJBLIŻSZYCH MIESIĄCACH UKAŻE SIĘ szereg interesujących publikacyj poetyckich. Władysław Sebyła już wydał, „Koncert egotyczny“, S. R. Dobrowolski oddał do druku tom wierszy, uzupełniony przekładami z rosyjskiego. Marjan Czuchnowski po wydaniu Trudnego życiorysu pracuje nad poematem „Śmierć i powódź“. Adam Ważyk, czołowy poeta formizmu, układa zbiorowe wydanie poezyj. To samo Józef Czechowicz, który jednocześnie pisze poemat (jeszcze jeden „zdrajca“ kolego Maśliński!) i wykańcza tomik przekładów z czeskiego. Nakładem „Zetu“ ma wyjść wybór poematów Ottokara Brzeziny w spolszczeniu Antoniego Madeja. Redaktor „Kameny“, K. A. Jaworski wydaje tom wierszy, oraz przekłady z Jesienina. Pięta debiutuje „Alfabetem oczu“, który wraz z „Rozmową z ojczyzną“ Łobodowskiego ukażą się, jako pierwsze numery poetyckiej biblioteki „Dźwigarów“.

Ale są i „kryjaki“, którzy dotychczas nie wydali własnego tomu. Należą do nich Konrad Bielski (zdawna zapowiadana książka!), Szenwald i Gałczyński, który widocznie czeka, aż społeczeństwo samo zakrzętnie się koło tego (w myśl odezwy Czechowicza, Ładosza i Micińskiego).

NIE PRÓŻNUJĄ I PROZAICY MŁODEGO POKOLENIA. Kruczkowski po doskonałym „Kordjanie i chamie“ pisze nową powieść socjalną. Zespół literacki „Przedmieście“ kontynuuje wydawanie zbiorowych tomów. Z pośród jego członków, Kornacki, Degal i Zandberg wydają własne książki. Wielką powieść o wnętrzu socjologicznem skończył Adam Galis. Nowe prace mają na warsztacie Rudnicki i Uniłowski. Czekamy też z niecierpliwością na wielokrotnie zapowiadane „Berło“ Czechowicza!

## KRONIKA LUBELSKA

Lubelski Związek Literatów nie daje od dłuższego czasu żadnego znaku życia. Stała emigracja członków Związku do Warszawy (Czechowicz, Domiński, Łobodowski, Arnsztajnowa) paraliżuje energiczniejszą działalność, tembardziej, że reszta jest rozrzucona po całej lubelszczyźnie. Należałoby jakoś tą, martwą dotychczas, instytucję, ożywić, albo wślad za rezygnacją z działalności zrezygnować również i z istnienia samego Związku. Związek liczy obecnie siedemnaście osób (Arnsztajnowa, Czechowicz, Domiński, Łobodowski, Michalski, Mrozowski i Pięta w Warszawie, Fleszarowa, Gralewski, prof. Kamykowski, Madej i ks. Załewski w Lublinie, Jaworski, Kasperski i Popowski w Chełmie, Bielski i Kłosowski w Chełmie).

Uchwalono Lubelską nagrodę naukowo-literacko-artystyczną w wysokości 1000 zł. W roku b. nagrodę otrzyma naukowiec, w roku przyszłym literat. Kolejność ta może być zmieniona w razie braku kandydatów w danej dziedzinie. Jury nagrody tegorocznej już dokonało wyboru laureata, o czem ogłosi w dniu 11-go listopada.

Towarzystwo Przyjaciół Nauki opracowuje od dłuższego czasu antologię poezji lubelskiej.



W grudniu odbędzie się wieczór poetów lubelskich w Równem Wol. (9 grudzień) i taki sam wieczór w Lublinie. Projektuje się także wieczór poezji słowiańskiej (rosyjskiej, ukraińskiej i czeskiej).

Redakcja „Kameny“ przygotowuje w porozumieniu ze Związkiem Literatów numer regionalny, w którym pragnie skupić wszystkich pisarzy w ten czy inny sposób związanych z lubelszczyzną (Strug, Sz. Zarembina, Leśmian, Ostrowski, Ciesielczuk i t. d.). Numer ten wyjdzie prawdopodobnie w marcu 1935 roku.

## PRO DOMO SUA

Wydajemy pierwszy numer miesięcznika literacko-społecznego i na jego marginesie notujemy te kilka słów. Przedewszystkiem genealogja. Pismo ma swego antenata. Jest nim miesięcznik „Barykady“, którego dwa numery wyszły w jesieni 1932 r. Zmarł śmiercią nagłą i gwałtowną, mając „dębową trumnę pozwem zatrzaśniętą“. Zostało po nim kilka weksli i ozywione stosunki z urzędem śledczym i prokuratorem.

Dziś z dystansu dwóch lat widzimy dobrze jego wady i zalety. To doświadczenie staraliśmy się uwzględnić przy pracy. „Dźwigary“ uważamy za pismo potrzebne. Podtytuł, głoszący o „sprawie kultury proletarjackiej“, nie jest frazesem. Wprawdzie masa proletarjacka naszego pisma czytać nie będzie, ale też nie wydajemy go dla niej. Liczymy, jako na czytelnika, na radykalizujące się odłamy inteligencji, a przedewszystkiem na wszystkich młodych ludzi pióra którzy stają po lewej stronie społecznej barykady. Chcemy stworzyć z „Dźwigarów“ almanach poezji rewolucyjnej i z treści i z formy. Dlatego walka z passeizmem z jednej strony, a formalizmem z drugiej. Chcemy sprowokować dyskusję na tematy i artystyczne i ideologiczne, aby przeciwstawiając się swoim wrogom, jednocześnie przeciwstawiać się głoszonym przez nich ideom, nie drogą aprioristycznego odrzucania lecz przezwyciężania. Dlatego zachowamy daleko idący krytycyzm wobec samych siebie. Rozumiejąc, że sprawa nowej kultury wymaga maksymalnego wysiłku, będziemy walczyli z wszelką symplifikacją i obejściem trudności.

Jesteśmy grupą inteligentką i zdajemy sobie dobrze sprawę z trudności, które z tego stanowiska wynikają. Jesteśmy pewni, że sytuacja socjologiczna przeciętnego inteligenta jest gorsza niż kogokolwiek innego. Trzeba więc zdobyć się na pewną wyrozumiałość wobec krętych dróg, któremi inteligencja dochodzi do bazy marxistowskiej. Pamiętamy o tem, że błędy i załamania wielu młodych pisarzy są nieuniknioną konsekwencją ich pochodzenia. Znamy te wilcze doły z własnego, stosunkowo świeżego doświadczenia.

To wszystko do pewnego stopnia tłumaczy powody, dla których w dziale poezji znalazły się wiersze, mało harmonizujące z resztą materiału. Ale tych powodów było więcej. Wiersz burżuazyjnego autora może liczyć na miejsce w naszym piśmie, jeśli posiada wartość artystyczną. Oczywiście oblicza naszego szukajcie w wierszach społecznych (w tym numerze J. Łobodowskiego!) Gorszącym się przypominamy, że poezje



Pasternaka wyglądałyby tu tak samo, jak nprz. Czechowicza; powołujemy się też na fakt, że Gosizdat uznaje za potrzebne wydawać mistyczne i religijne wiersze Al. Błoka.

Uprzedziliśmy spodziewane zarzuty i zastrzeżenia. Teraz parę komentarzy i informacji dotyczących pierwszego numeru. Wizerunek Joanny d'Arc nie świadczy o tem, abyśmy adorowali katolickich świętych. W swoim czasie w „Barykadach“ daliśmy reprodukcję litografji Wita Chomicza, przedstawiającej kościół po-bernardyński w Lublinie. W następstwie tłumaczyliśmy to posunięcie w temże piśmie tak: „nie chodziło tu o kościół, ale o piękną architekturę, a co ta architektura wyobraża i czym prywatnym celom służy... to nas absolutnie nie obchodzi; dziś jest to kościół, jutro będzie muzeum, albo teatr robotniczy, a przecież ani jedna linja szlachetnego baroku nie ulegnie przez to żadnej zmianie“. Proponujemy dostosować ten komentarz do wizerunku naszej pastereczki z Dom Remy.

W związku z drugą reprodukcją, celem uniknięcia nieporozumień, z góry informujemy zainteresowanych, że malarz przedstawił tu moment w którym wysłaniec Kominternu (ten z bródką) wręcza redakcji „Dziwigarów“ miesięczny zasiłek w czerwonościach oraz większą ilość miazmatów. Podajemy tą wiadomość specjalnie na użytek miejscowych endeków, aby nie głowili się napróżno nad rozwiązaniem zagadki.

Numer jest nieco przeciążony materiałem, mającym związek z Rosją i jej kulturą. Istotnie, celowo ułożyliśmy go tak, aby, nie robiąc wrażenia numeru specjalnego, posiadał w swoim układzie jakiś stos pacierzowy. Analogicznie do tego, drugi numer skupi się koło zagadnień ukraińskich i t. p. Przekłady nie są przypadkowe; dobraliśmy je pod kątem dialektycznego rozwoju liryki rosyjskiej: od romantycznej negacji ówczesnej rzeczywistości u Lermontowa — poprzez błokowski mistycyzm—do proletarjacko-rewolucyjnego konstruktywizmu Majakowskiego.

Artykuł „Likwidatorzy Marksa“ jest ostrzelaniem likwidatorskiej ofensywy filozoficznej ze stanowisk socjologicznych: wykazuje niektóre słabe punkty i niekonsekwencje tej ofensywy, nie podejmując wszakże zasadniczej walki. W miarę dalszego rozwoju pisma poświęcimy więcej uwagi filozoficznej obronie naszych stanowisk doktrynalnych.

W artykule Strachockiego niezbyt wyraźnie została sformułowana myśl o potrzebie odwrócenia się od burżuazyjnego internacjonalizmu. To, co Strachocki pisze o „rasowej kulturze proletariatu“, nie należy w żadnym wypadku rozumieć, jako propagandy nacjonalizmu. Jest tu tylko słuszne stwierdzenie tego faktu, że do socjalistycznego internacjonalizmu najkrótsza droga prowadzi przez właściwe określenie swego stosunku do kwestji narodowej. I odwrotnie tylko w ustroju socjalistycznym narodowość znajduje pełne i nie skarykaturowane formy bytu.

Tyle, jeśli chodzi o pierwszy numer. Teraz plany na przyszłość. Drugi numer (grudniowy) wyjdzie w zwiększonej nieco objętości. W części poetyckiej obiecali się Broniewski, Czuchnowski, Timofiejew, Madej i Łobodowski. Przekłady z ukraińskiego (Szewczenko, Tyczyna, Bażan) i litewskiego (Kazys Boruta). Wśród artykułów: Timofiejewa „Literatura w świetle badań marxistowskich“, Krawczenki „Wielka Ukraina“, Łobodowskiego, „Mickiewicz odkłamany“ i inne.



Jednocześnie rozpoczynamy wydawnictwo poetyckiej biblioteki „Dźwigarów“. Jako pierwsze tomiki idzie „Alfabet oczu“ Stanisława Piętaka i „Rozmowa z ojczyzną“ Józefa Łobodowskiego. W projekcie „Antologia poezji współczesnej“ w rewizjonistycznym ujęciu (najwyżej trzydzieści nazwisk).

To, że pismo wychodzi w Lublinie, jest najzupełniejszym przypadkiem. „Dźwigary“ nie mają żadnych ambicji regionalnych. Wprawdzie daliśmy w pierwszym numerze „Kronikę lubelską“, ale taksamo będziemy dawali przegląd działalności kulturalnej innych ośrodków.

---

---

# „K A M E N A“

## MIESIĘCZNIK LITERACKI

DRUGI ROK WYCHODZI W CHELMIE LUBELSKIM

POD REDAKCJĄ K. A. JAWORSKIEGO

DRUKUJE NASTĘPUJĄCYCH AUTORÓW:

BIELSKIEGO, BRZĘKOWSKIEGO, CZE-  
CHOWICZA, CZERNIKA, CZUCHNOW-  
SKIEGO, JAWORSKIEGO, ŁOBODOW-  
SKIEGO, MADEJA, MIŁOSZA, PIECHAŁA,  
PIĘTAKA, PRZYBOSIA, TIMOFIEJEWA,  
I INNYCH.

STAŁE KOLUMNY PRZEKLADÓW Z LITE-  
RATURY FRANCUSKIEJ, ANGIELSKIEJ,  
WŁOSKIEJ, ROSYJSKIEJ, UKRAIŃSKIEJ,  
CZESKIEJ, RUMUNSKIEJ I T. P.

ADRES REDAKCJI:

CHEŁM LUBELSKI REFORMACKA 43.

---



W najbliższych dniach wyjdą  
pierwsze tomiki biblioteki poetyckiej

„DŹWIGARÓW“

**„ALFABET OCZU“**  
**STANISŁAWA PIĘTAKA**

Cena zł. 3 dla prenumeratorów „Dźwigarów“ 2.50 zł.

---

**„ROZMOWA Z OJCZYZNĄ“**  
**JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO**

Cena zł. 4 dla prenumeratorów „Dźwigarów“ 3 zł.

---

Książki te można zamawiać w admi-  
nistracji pisma, albo u autorów —  
Warszawa ulica Dobra № 9 m. 24.

---

Zamawiający obydwie tomiki  
placą 6 złotych, prenumeratorzy 5 zł.



